Nr 85 Kraków, Niedziela dnia 12 Kwietnia 1896. Rok IV.

Przedpłata
w Krakowie:
rocznie zł. 16·—
kwartalnie „ 4·—
miesięcznie „ 1·35
Za odnoszenie ct. 20
Na prowincji:
rocznie zł. 20·—
kwartalnie „ 5·—
miesięcznie „ 1·70
Za granicę:
miesięcznie zł. 2·—

Numer zwykły 6 ct.
Niedzielny 10 ct.

GŁOS NARODU

Wychodzi codziennie, z wyjątkiem dni poświątecznych o godzinie 8 rano.

Ogłoszenia:
Za wiersz 6 ct. Od wyrazu w drobnych ogłoszeniach 1½ ct.
w „Nadesłanem“
Wiersz zwykły 20 ct.
Śluby, nekrologi, wiersz 40 ct.
Do udziału inseratów upełnomocniony *Jan Strycharski.*

Rękopisów redakcja nie zwraca.
Każda zmiana adresu 10 ct.

Adres Redakcji:
Kraków, ulica Krupnicza l. 11.

REDAKTOR NACZELNY: **JÓZEF ROGOSZ.**
Redaktor odpowiedzialny: KAZIMIERZ EHRENBERG.

Adres Administracji:
Kraków, ul. Jagiellońska l. 7.

Bartoszewicz o „Rzeczy“ Koźmiana.

III.

Skutki powstania, tak jak je ocenia i przedstawia p. Stanisław Koźmian w trzeciej części swojej „Rzeczy“, słusznie uważa p. Bartoszewicz za chaotyczny wytwór fantazji nielogicznego umysłu. „P. Koźmian kłóci się sam ze sobą, a przyczyna tego prosta, bo raz chce dowieść, że powstanie było nierozumnem przedsięwzięciem i że nie mogło liczyć na Europę, a wtedy wypada mu twierdzić, iż Polska nikogo nie obchodziła, że jej rozbiór był całkiem obojętny dla Europy, a drugi raz chcąc zgubne skutki powstania przedstawić w rozmiarach jak największych, przypisuje mu wszystko złe, co się później stało w Europie, podnosząc powstanie do znaczenia światowej porażki, która zachwiała całą Europą. Gdyby nie powstanie, nie byłoby Sadowy ani Sedanu, a co za tem idzie, cesarstwa niemieckiego. W ten sposób dowodząc, wszystkiego dowieść można, nawet tego, że gdyby Kolumb nie odkrył Ameryki, to udałoby się powstanie 1863 r. Bo proszę sobie tylko pomyśleć: gdyby Ameryka nie została odkrytą, nie wiedziałoby się nic o Meksyku, gdyby Napoleon III nie wiódł wojny meksykańskiej, byłby silniejszym, a gdyby był silniejszym, mógłby przyjść powstaniu z pomocą. Mamy więc nowe i to całkiem oryginalne skutki powstania — mógł śmiało do nich dołączyć p. Koźmian wojnę rosyjsko-turecką, oswobodzenie Bułgarji i morderstwo popełnione na Stambułowie. Ale ma on jeszcze w zanadrzu inne skutki. „W dziedzinie duchowej powstanie zachwiało wiarę w skuteczność poświęceń i ofiar, co gorsza, wyrodziło przeświadczenie ich zgubności; obniżyło tem samem patrjotyzm ogółu“. To jest już zupełnie coś nowego. Wszakże p. Koźmian w pierwszym i drugim tomie wciąż dowodził, że właśnie zgubą naszą była wiara w skuteczność poświęceń i ofiar, wszak w tym trzecim tomie, choć nieco dalej, nieustannie wytyka naszemu społeczeństwu, że posiadało „zbyt zdolności do poświęceń i ofiar“, że „żyło tylko wiarą i nadzieją“, że wciąż „karmiło się konfortatywami“. Wiara w skuteczność poświęceń i ofiar była według p. Koźmiana naszem nieszczęściem, a teraz znowu nieszczęściem jest, iż powstanie wiarę tę zachwiało.

Rozbiera dalej p. Bartoszewicz trzeźwo i dowcipnie słynny „rozdział odpowiedzialności“ wykazując za Lisickim całą jego zbyteczność i zawartą w nim czczą gadaninę. Doszedłszy zaś do teoryjki o bycie narodowym przeciwstawionym niepodległości, nie bez rzeczywistego zdumienia znajduje zdania (str. 336) wprost zaprzeczające i zadające kłam temu co p. Koźmian mówił w tym i w poprzednich tomach. „Podziwiać należy w p. Koźmianie tę umiejętność wypowiadania bez wysiłku zdań najsprzeczniejszych, nawzajem się zbijących. Jest to metoda jego własnego wynalazku, metoda nadzwyczaj dogodna, bo uprzedzająca z góry wszelką krytykę. Krytykowi twierdzącemu, że p. Koźmian każe porzucić ideę niepodległości, może on śmiało odpowiedzieć: nieprawda! — i przytoczyć zaraz cały ustęp, dowodzący niespożytej mocy tej idei; temu, kto powie, że p. Koźmian ideę tę podnosi i wysoko ceni, jako środek do utrzymania bytu narodowego, odpowie autor Rzeczy: nieprawda! i przytoczy znów ze swej książki odpowiednie ustępy. Gdyby komuś się nie podobało, że p. Koźmian potępia bezwzględnie spisek — autor Rzeczy z uśmiechem wskaże w swej książce miejsce w którem spisek uważa za środek dobry, prowadzący do celu; kto na mocy tego wskazanego ustępu oskarży go o protegowanie spisku, wobec tego p. Koźmian z tym samym uśmiechem powoła się na liczne wywody wykluczające spisek ze środków odzyskania niepodległości. Jeżeli powiesz, że autor Rzeczy uwielbia Wielopolskiego, to p. Koźmian zacytuje ci kartę za kartą, na której Wielopolskiemu odmawia prawie wszelkich zdolności na męża stanu; jeżeli zauważysz odwrotnie, że dla Wielopolskiego ma p. Koźmian całą litanję nagan i zarzutów, historjograf grona krakowskiego zawoła: „kłamstwo! przecież Wielopolskiego nazwałem najmądrzejszym, najdzielniejszym mężem społeczeństwa, najpiękniejszym okazem“ itd. Zawsze więc i na wszystko ma p. Koźmian gotowe zaprzeczenie. Kiedy lwowska *Gazeta kościelna* zwróciła uwagę na przyznanie się pana Koźmiana w drugim tomie do indyferentyzmu religijnego, autor „Rzeczy“ w tomie trzeciem nazwał katolicyzm „bezwzgędną prawdą“. Kto więc chce mieć w nim katolika, ma go w tomie trzecim, a kto chce go mieć za człowieka, uważającego wszelkie religje za wytwór czysto ludzki, ten ma go takiego w tomie drugim. Z takim majstrem jak p. Koźmian, wszelka dyskusja okazuje się niemożebna“.

Jednemi z najciekawszych w zajmującej książce p. Bartoszewicza są ustępy, omawiające rozdział poświęcony powstaniu i programowi stańczykowskiej szkoły, rozdział, dla którego cała „Rzecz“ była napisana, a który przesiąknięty jest najjaskrawszą fantastycznością i od początku do końca stanowi bijące w oczy przeinaczenie istotnego stanu rzeczy. Anegdotka o spotkaniu p. Koźmiana ze Stanisławem Tarnowskim na Rynku, jest zbyt naiwna, aby można uważać ją za autentyczną. Oto ta anegdotka: „Na wiosnę 1866 roku Stanisław Tarnowski wyszedłszy z więzienia, spotkał na Rynku krakowskim piszącego tę rzecz. „Cóż poczniemy, cóż robić będziemy?“ zapytał. „Wydawać będziemy pismo polityczne“. „Dobrze, ale jakto my dwaj?“ „I Szujski“. „Szujski? Ale przecież on nie zupełnie takie jak my ma przekonania i zapatrywania?“ „O, Szujski się zupełnie odmienił“. Obaj poszli do Szujskiego; pozyskali współudział Ludwika Wodzickiego i 1 lipca 1866 wyszedł zeszyt *Przeglądu Polskiego*... Pierwszą formą wystąpienia szkoły wojującej była Teka Stańczyka“. P. Bartoszewicz odpowiada na to spokojnie:

„Wszystko to się nie zgadza z prawdą i faktami. Naprzód ów zabawny djalog, gdyby istniał, nie istniałby na wiosnę r. 1866, bo p. Stanisław Tarnowski wyszedł z więzienia we wrześniu 1865 na skutek osobnego wraz z kilku towarzyszami uzyskanego ułaskawienia, a więc nie natychmiast po jego wyjściu stanął *Przegląd Polski*... na Rynku krakowskim. Czy inicjatorem tego pisma był p. Stanisław Koźmian, wiedzieć nie możemy, mógłby o tem coś powiedzieć tylko p. Stanisław Tarnowski, gdyby dobrze pamiętał o czem przed trzydziestu laty na Rynku się mówiło, a gdyby pamiętał rzecz inaczej, trudno byłoby od niego wymagać, aby zaprzeczył drukowanemu słowu swego przyjaciela. Fakt ten więc nie będzie zbadany, (smuć się historjo!) lubo wszelkie prawdopodobieństwo przemawia za tem, iż pomysł wydawania *Przeglądu* wyszedł od p. Tarnowskiego. Był on jak na nasze stosunki człowiekiem wcale zamożnym i rwał się do pióra, a ludzie tego rodzaju chcą mieć swój organ własny. Jest na to jeszcze i inny dowód, czysto logiczny. Kto daje inicjatywę do założenia pisma i to politycznego, ten odrazu w niem występuje, tymczasem kiedy w pierwszym numerze *Przeglądu* jest już artykuł o sejmie pióra p. Tarnowskiego, to ani w pierwszym, ani w drugim zeszycie nie ma ani jednego wyrazu napisanego przez p. Koźmiana, tego inicjatora, który miał już w głowie program zbawienia Polski przez swą politykę wyrzeczenia się zgubnej idei niepodległości. *Przegląd polityczny* napisał do pierwszego zeszytu Ludwik Wodzicki, do drugiego Stanisław Tarnowski. Samo uproszenie wreszcie Florjana Ziemiałkowskiego, aby napisał programowy artykuł wstępny, dowodzi, że szanowne grono krakowskie nie miało żadnego programu, że rozpoczęło wydawnictwo miesięcznika więcej w celach literackich i dla rozbioru spraw społecznych (czego dowodzi przeważna część artykułów tej treści w pierwszych rocznikach *Przeglądu*), aniżeli dla celów politycznych. Ale ponieważ nie wykluczali i polityki ze swego programu, a sami nie czuli się jeszcze kompetentni do jej „robienia“, uprosili przeto Ziemiałkowskiego, człowieka „ruchu“, członka organizacji powstania, świeżo wypuszczonego z więzienia, do którego na trzy lata za udział w roku 1863 był skazany, aby jako w polityce *peritus* i zajmujący już wybitne stanowisko polityczne, wyręczył ich w nadaniu barwy politycznej *Przeglądowi*. I cóż w tym programie napisał Ziemiałkowski? Nie będę go streszczał szczegółowo, ale wskażę na parę ustępów, które będą dostateczne do zrozumienia: czy program Ziemiałkowskiego mógł się godzić w czemkolwiek z późniejszem stańczykostwem p. Koźmiana i spółki. Przedewszystkiem kładł Ziemiałkowski nacisk, że w polityce powinno istnieć prawo i sprawiedliwość, a nie interes i siła. Dalej wychwala Ziemiałkowski wolność jako ostateczny cel człowieka, jako ideał w przeciwstawieniu do „rządów ojcowskich“. Następuje nadzwyczaj ważne wobec tendencji pana Koźmiana zaznaczenie, że „w roku 1865 zaczęliśmy się garnąć z całą ufnością ku Koronie i że odtąd kraj daje monarsze niewymuszone dowody szczerej lojalności“, a więc świadek naoczny stwierdza w pierwszym numerze organu stańczyków, iż na drogę lojalności weszła Galicja już wtedy, kiedy jeszcze o *Przeglądzie* nikt nie myślał, a o byłym pomocniku telegrafisty krakowskiego biura Rządu narodowego nikt jeszcze nie słyszał. Przechodząc do spraw ukształtowania się Austrji, Ziemiałkowski żąda, aby państwo pod względem zarządu podzielone było na trzy części: na Węgry, Galicję i kraje niemiecko-słowiańskie, żąda osobnego rządu parlamentarnego dla krajów polskich i zupełnej we wszystkiem autonomji. Mówiąc o walkach za niepodległość, Ziemiałkowski z naciskiem dwukrotnie zaznacza, iż „tylko kramarz krótkowidzący, spekulujący na zysk dzienny, może mówić o nieudałych przedsięwzięciach dziejowych“, bo każde z nich ma swoją zasługę i swoje znaczenie. Artykuł kończy się wezwaniem szlachty i sfer inteligentnych do zajęcia się pracą koło podniesienia ludu, bo w nim leży siła narodu. Pod artykułem tym, nadającym kierunek *Przeglądowi*, mógłby się dziś podpisać każdy uważany przez Stańczyków za „czerwonego“, nawet pp. Rewakowicz i Lewakowski. I gdzie pan Koźmian znajdzie w tym artykule jakikolwiek ślad stańczykostwa? Znajdzie tylko stwierdzenie, że kraj wszedł już na drogę kompromisu z rządem austrjackim, garnął się ku koronie już wtedy, kiedy o jednym stańczyku dopiero wiedziano, o Stańczyku błaźnie Zygmunta Augusta, żyjącym przed trzystu laty“.

Równie świetnym i przekonywującym jest wywód, że program grupy Stańczyków, o ile oni kiedykolwiek odrębne tworzyli stronnictwo nie był takim jak go *a posteriori* przedstawia p. Koźmian, że przeciwnie grupa ta znajdowała się czasem wprost w sprzeczności z zasadami głoszonemi dziś przez pana Koźmiana. Brak nam miejsca, aby przytoczyć te znaczące wywody, odsyłamy więc czytelników do samej książki p. Bartoszewicza, pisanej z werwą polemiczną tak żywą, że trudno się oderwać od iskrzących się dowcipem uwag krytyka. Pobieżne nasze streszczenie pragnęlibyśmy zakończyć charakterystyką samego p. Koźmiana, zawartą w tece Stańczyka, którą cytuje w całości p. Bartoszewicz. Już wówczas nawet najbliżsi przyjaciele p. Koźmiana taki o nim sąd wydali: „Jest on w tym punkcie, że gotów przesadzić i trzeźwością i rozsądkiem. Ma to szczęście, czy nieszczęście, że należy i do jednych i do drugich, i że kiedy jedni nienawidzą go, drudzy go nie lubią. Jest to poprostu sceptyk w sądzie i w zdaniu o wszystkiem. Ma on swoje zdanie, ale przekonania nie ma. Koniec końcem wszystko mu jest jedno i myśli, że czy tak, czy siak, to ostatecznie na jedno wyjdzie. Będzie on z równą krwią bronił władzy świeckiej, Papieża i wyrażał się pobłażliwie o ustawach konfesyjnych w Austrji. Wogóle można o nim powiedzieć to, co mówiła pewna dowcipna dama o pewnym ministrze: Pozostał on obiecującym dzieckiem!“ Zdaje się zatem, że nawet najbliżsi wiedzą dobrze, co myśleć o autorze słynnej „Rzeczy“.

ZE ŚWIATA.

Wiedeń d. 10 kwietnia.

(List oryginalny Głosu Narodu).

Program uroczystości na cześć cesarza Wilhelma został już urzędownie ogłoszony. Brzmi on jak następuje:

We wtorek o godzinie 10 rano przybycie pary cesarskiej pociągiem kolei południowej. Cesarz Fran-

ciszek Józef, wszyscy arcyksiążęta obecni w Wiedniu i arcyksiężne, dowódca korpusu, komendant miasta, namiestnik i dyrektor policji zjawią się na dworcu w mundurach galowych. Kompanja honorowa wraz ze sztandarem i muzyką będzie ustawioną na dworcu.

Wszyscy urzędnicy dworu będą oczekiwali w przedsionku Burgu. Na wieży zamkowej mają powiewać sztandary: niemiecki i austrjacki.

O godzinie 5 wielki objad. Wieczorem przedstawienie w operze cesarskiej. O godzinie 10 odjazd cesarzowej niemieckiej do Berlina. Para cesarska uda się prosto z opery na dworzec, młodzi książęta do Burgu. Nie odbędzie się żadne urzędowe pożegnanie.

W środę rano rewja na Schmelzu. O godzinie 5 po południu objad w sali redutowej. O 8 wieczorem cesarz niemiecki opuści Wiedeń. Podczas pobytu władcy Niemiec zjawi się także kanclerz ks. Hohenlohe.

W depozycie tutejszego sądu krajowego znajdują się zawsze znaczne sumy pieniężne. Kancelista Rudolf Samer sfałszował podpis swego szefa radcy Hollanda i podniósł z kasy 13.000 złr. w papierach wartościowych, gotówce i kosztownościach. Na drugi dzień kradzież się wykryła i policja przyaresztowała Samera w jego mieszkaniu przy Sturzgasse. W chwili zjawienia się ajentów policyjnych, Samer chciał się zastrzelić z rewolweru, lecz tylko zranił się lekko i Towarzystwo ratunkowe odstawiło go do szpitala inkwizycyjnego. Jak zwykle się dzieje, w każdej zbrodni odgrywa rolę kobieta. Tutaj było ich dwie i to siostry rodzone panny Divisch, córki właściciela domu. Obiedwie kochały się w Samerze i utrzymywały z nim stosunek miłosny. Z młodszą chciał on umknąć do Ameryki. Było już wszystko przygotowane do podróży, nawet wiktuały. Owej wycieczce przeszkodziła jednakowoż policja. Panny Divisch zostały wczoraj aresztowane, lecz po południu wypuszczono je na wolność. Prawdopodobnie są także ofiarami oszusta.

Mimo strasznych przykładów amatorowie wycieczek w góry udają się całemi gromadami do Prein i stamtąd wdrapują się na szczyt Losswaldkanin. W pierwsze święto wyruszyło towarzystwo, złożone z trzynastu osób. Popołudniu powstała burza śniegowa i zasypała wszystkie drożyny. Amatorowie pięknych widoków musieli przepędzić noc na otwartem powietrzu przy 10 stopniach zimna. Powrócili dopiero w poniedziałek, przemarznięci do szpiku kości. Znana turystka, panna Mitzi Langer, brała udział w tej wyprawie, ale podobno przysięgła, nigdy się już nie zapuszczać w piękne Alpy. Szczęściem gospodarz hotelu, zaniepokojony długą nieobecnością swoich gości, wysłał przewodników i ci ich odszukali. Inaczej mogła się była przytrafić groźna katastrofa.

Swój.

Paryż 8 kwietnia.

(List oryginalny Głosu Narodu).

Pan René Millet, znana osobistość na bulwarach paryskich, zorganizował ciekawą wycieczkę do Tunisu. W skład niej wchodzą: archeologowie, geografowie, rolnicy, dziennikarze, przemysłowcy i amatorowie podróży zamorskich. Jeneralny rezydent francuski w Tunise, przyobiecał swoje poparcie i sam bierze udział w tej wyprawie naukowej. Towarzyszyć mu będzie sztab złożony z 11 osób. Między niemi pan Dybowski, dyrektor rolnictwa. Karawana wyruszy w tych dniach i zwiedzi ruiny Kartaginy, port Bicetre, Kierouan. Następnie zapuści się na południe i dotrze ostatnich granic państwa tunetańskiego. Wycieczka ma na celu zbadanie kraju pod względem przemysłowym, rolniczym, górniczym i archeologicznym.

Socjaliści francuscy podzielają zapatrywania swoich kolegów niemieckich, włoskich. belgijskich i innych, żądających zniesienia armji stałych i wytworzenia milicyj narodowych. Społeczeństwa inaczej się jednak zapatrują na sprawę i wiedzą dobrze, że armje nietylko są potrzebne do zabezpieczenia granic, ale utrzymania porządku wewnętrznego. Pan Weber radca municypalny i członek rady jeneralnej departamentu Sekwany, znany jest ze swojej miłości socjalizmu. W ostatnich dniach powołano go na członka komisji asenterunkowej. Odpowiedział odmownie i w piśmie wystosowanem do prezesa komisji, zaznaczył, iż nigdy nie przyłoży ręki do werbowania żołnierzy, będących zawsze narzędziem powolnem w rękach tyranów. List pobudził do śmiechu, ale swoją drogą jest on znaczącym i wybornie maluje usposobienie patrjotyczne socjalistów francuskich. Niech kraj zostanie rzucony na pastwę wroga, byleby idea tryumfowała.

Minister wojny Cavaignac, ostentacyjnie nie przyjął udziału w uroczystościach belfortskich. Zrobiło to bardzo przykre wrażenie między publicznością, a także w sferach wojskowych. Obecnie pan Cavaignac tłómaczy swoją nieobecność złym stanem zdrowia. Nikt jednak nie wierzy i wszyscy przypisują mu lekceważenie najważniejszych faktów, odnoszących się do nieszczęśliwego pogromu 1870 r.

Pan Rochefort w swoim dzienniku grozi manifestantom w Auteuil, którzy krzyczeli: „Niech żyje senat“, demonstracją innego rodzaju. Pisze on: „Jeżeli monarchiści chcą w dalszym ciągu uprawiać sport kocich muzyk, to i my potrafimy urządzić coś podobnego, ale w edycji poprawniejszej. Zwolennicy trzech lilij i orłów cesarskich, powinni sobie przypomnieć pierwszą rewolucję i plac de la Rocquette“. Słowa są aż nadto wymowne i nie potrzebują żadnych komentarzy.

Niejaki Ludwik Macheret, redaktor dziennika anarchistycznego *La voie publique*, idee, jakie uprawia na szpaltach swego organu, wprowadza także w praktykę. Poróżnił się ze swoim sąsiadem, piekarzem Girand i poprzysiągł mu zemstę śmiertelną. Wczoraj udał się do niego. Szczęściem piekarz był nieobecny. W przystępie wściekłości zranił nożem żonę i córkę. Ścigany przez policjantów, znowu dwóch ciężko pokiereszował. Wreszcie przytrzymano go i związano. Przed komisarzem policji, nie chciał nic zeznać i powiedział, że dość będzie miał czasu do rozmowy z sędzią śledczym.

K. W.

Na półwyspie Apenińskim.

Wrażenia osobiste spisał

JÓZEF ROGOSZ.

(Ciąg dalszy).

IV.

Pałace.

Ile ulic w stu miastach włoskich, przynajmniej tyle pałaców wspaniałych, a każdy pomieści króla z jego dworem. Oto masa kamieni, niezrozumiała dla francuskiego episjera, który chce, by pałac wyglądał strojno i zalotnie jak paryska kokota — ale ileż prawdziwego piękna w tej prostocie, szlachetności w tych linjach, powagi w tych murach poczernionych! Przed tobą staje żywo historja wieków, w których te gmachy powstały; historja pełna siły i pełna tyranji. Tylko tam, gdzie samowola jednostek króluje, rodzi się budownictwo o wielkich konturach. Tak było w Indjach, w Egipcie, w Peru, Meksyku i Rzymie; tak było w Italji, w Niemczech i we Francji feudalnej. Traci na tem ludzkość, ale zyskuje sztuka.

Gdzie postacie Medyceuszów i Pazzich, Boromeuszów i Sforzów, Farnezjuszów i Strozzich, Piccolominich i Corsinich — i tylu, tylu innych, że aby ich nazwiska wymienić potrzebaby na to kilka kart poświęcić! Gdzież ci ludzie, bez których nie ma historji włoskiej i włoskiej sztuki! Namiętni byli, dzicy prawie, łupili się i mordowali nawzajem, ale właśnie w tej walce bezustannej należy szukać źródła ich pomnikowego budownictwa. Każdy pragnął być pierwszym, każdy chciał sąsiada pokonać nie tylko mieczem, trucizną lub podstępem, lecz także wspaniałością swojej rezydencji. Za przykładem Signorów szli patrycjusze, za nimi bogatsi mieszczanie, których znowu naśladowały Rady gminne i korporacje. W ten sposób Włochy zostały zasiane pałacami.

Jak wielkie było współzawodnictwo na tem polu, niech na dowód posłuży następujące podanie: Założyciel pałacu „Strozzi“ we Florencji, który żył i gmach ten budował u schyłku XV wieku, wezwał jednego z najcelniejszych artystów współczesnych, aby mu zrobił latarnie, które na rogach ulic miały być umieszczone. Artysta wywiązał się świetnie ze swego zadania, bo zrobił tak piękne, że równych im nie było ani przedtem, ani potem.

Pan uszczęśliwiony tym nabytkiem poprosił, artystę na drugie piętro, aby patrząc z wysokości na podwórze, osądził, ażali i tam nie dałyby się pomieścić takie same latarnie. Artysta usłuchał chętnie wezwania, ale w chwili, gdy pół ciałem przez okno się wychylił dla lepszego rozpatrzenia się po podwórzu, Signore pochwycił go zdradziecko za nogi i zrzucił na kamienie. Biedny artysta zginął! Nikt się o niego nie upomniał, bo i któż w owych czasach myślał o życiu jednego człowieka. I za cóż go zabił? Aby nikomu więcej takich latarni nie zrobił... Takie latarnie mógł mieć tylko pałac Strozzi, ale żaden inny.

Stańmy przed jednym.

Mury czarne, wysokie, u dołu czasem portyk wspaniały, u góry gzyms z całością harmonizujący, w pośrodku okna dziwnie pięknego rysunku. Żadnych przylepek, żadnych ozdób, żadnych malowideł. Na rogach okazałe latarnie, których przez wieki żadna burza nie zerwała, a u dołu, jeżli nie ma portyku, widać niekiedy w równych odstępach żelazne pierścienie, w które w dniach uroczystości familijne zatykano sztandary. Tylko stara szlachta miała ten przywilej. Rzeźbiona brama, olbrzymiemi nabita gwoździami, wiecznie zamknięta. Pierścieniem w pośrodku bramy uderz kilkakrotnie w gwóźdź żelazny, a za pomocą prostego mechanizmu, składającego się z drutu lub sznura, który zasuwkę porusza, otworzą ci podwoje zabytku minionych czasów. Ledwieś wszedł, brama własnym ciężarem napowrót zapada. Otworzą ci drugą, znajdującą się w pośrodku sieni, a zrobioną z żelaznych prętów *a giorno* i oto jesteś obok wschodów, naprzeciw czworobocznego podwórza, dokoła którego biegnie portyk, wsparty na licznych kolumnach. Na podwórzu cysterna marmurowa, rzeźby i bluszcze w gęstych zwojach wspinają się na mury. W głębi ogród.

Minąwszy szerokie wschody marmurowe, które czasami, jak w pałacach Farnezjuszów, są tak pochyłe, że powozem można wjechać na górę, ujrzysz się w salach pana domu. A po drodze nad wschodami widziałeś liczne posągi i kolumny marmurowe; każde podwoje miały odrzwia z czarnego marmuru, nad któremi zamarłem obliczem witał cię biust kararyjski jednego z antenatów...

Sale przestrone, piętrowe. Pod stopami marmur w mozaikę układany, na ścianach malowidła pierwszych mistrzów, w rogach posągi, na powale freski ujęte w złote ramy wystające. Ale gdzie mieszkańcy? Ci nieliczni, których tu spotkasz błąkających się w ubiorach francuskich ci synowie świata dzisiejszego i cywilizacji nowoczesnej, oni tak tu wyglądają, jak drobne owady w szkielecie przedpotopowego olbrzyma. Aby te sale odżyły potrzeba tysiąca osób, pięknych dam, kawalerów w strojach średniowiecznych, poetów sławiących wielkie czyny mężów a wdzięki dam, potrzeba dawnego życia. Dziś tu pusto i głucho, jak pod piramidami w grobowcach Ramzesa.

Przebiegłszy sale główne, znajdziesz się w labiryncie wązkich korytarzy czasem tak wązkich, że dwie osoby ledwie mogą się minąć — wśród pokoików stosunkowo małych i niepokaźnych, w których przed wiekami służba mieszkała. W miejscu, gdziebyś się tego najmniej spodziewał, ujrzysz w ścianie drzwi maskowane, przez które dostaniesz się na wschody wązkie i kręte. One wiodą w nieznane miejsce, gdzieś na inną ulicę. Niegdyś te wschody znali ci tylko, którzy z panem w serdecznych zostawali stosunkach; niemi wchodzili do pałacu alchemiści, astrologowie, konspiratorowie i zbiry; niemi wreszcie uciekał pan sam w razie niebezpieczeństwa...

Po upadku feudalizmu upadły majątki małych tyranów włoskich. Z biegiem czasu, w miarę jak na półwyspie tworzyły się coraz większe ciała państwowe, setki pałaców dawnych signorów przeszły na własność nowych rządów. Po zjednoczeniu całej Italji, najokazalsze te gmachy stały się własnością rządu Wiktora Emanuela. Ministerja, prefektury, kwestury, sądownictwo, zakłady publiczne, słowem wszystko mieści się teraz po najpiękniejszych pałacach.

Pałace prywatne, których nie stawiali mali tyrani, ale zamożni patrycjusze lub mieszczanie, są do dziś dnia w rękach dawnych rodzin, ale jak wielka zaszła w nich zmiana! Arystokracja włoska zubożała, z bogatej niegdyś zrobił się proletarjat arystokratyczny i nikt nie pojmie, z czego ona żyje. To też wiele pałaców wynajęto dziś na kawiarnie, hotele, kasyna, a nawet... na domy uciechy. Widziałem pałace, które kosztowały krocie, a które można było kupić za 20.000 franków. I mimo tak niskiej ceny kupca znaleść nie mogły, bo Włochy, to kraj wcale niebogaty. Za mojej tamże bytności, przemysł stał na bardzo niskiej stopie, handel po uregulowaniu stosunków politycznych zaledwie się podnosił, fabryk nie było prawie żadnych, główne linje kolejowe dopiero budowano, a przywóz zagranicznych towarów był każdego razu większy niż wywóz własnych wyrobów. Obce kapitały nie wpływały zatem — a bez marnego złota nie ma niestety rozwoju. Kraj żył głównie z cudzoziemców, których tysiące każdej zimy przyjeżdża, ale czy tysiące mogą wzbogacić dwadzieścia kilka miljonów?

Wróćmy do mieszkańców pałaców.

Nie wiele znalazłem takich rodzin, które dostatecznie zamożne utrzymywały całe pałace dla siebie. Po największej części gnieździły się one w jednym jego zakątku, w najlepszym razie zajmowały pierwsze piętro, wynajmując dół i piętro górne. Kawałek ziemi, wystarczający zaledwie na najskromniejsze utrzymanie. A mimo to kobiety siedzą w domu z założonemi rękami, nic się nie ucząc i nic nie robiąc; mężczyźni zaś bez wykształcenia i towarzyskiej ogłady zbijają bruk lub całe noce przesiadują w kasynie. Dziś stosunki musiały zmienić się na lepsze, ale po zjednoczeniu Włoch były one takie a nie inne. Rodowa duma nie pozwalała pracować. Szczęśliwy jeszcze ten markiz lub contino, który miał kilka tysięcy rocznego dochodu. Wprawdzie codzień jadł *risotto* i *maccaroni col sugo*, ale za to ubierał służącego w liberję jak świat starą i w powozie ciągnionym przez dwie nędzne szkapy wyjeżdżał wieczorem za miasto *per far figura*. To pragnienie okazywania się dostatnio, które nazywają *far figura*, jest prawdziwą chorobą na półwyspie. Od arystokracji przeszła ona do stanu średniego. *Far figura*, choćby kosztem sumienia, kosztem cnoty żony lub córki, oto cel marzeń najgorętszych.

Arystokraci niemający wielkiego majątku, a liczne rodziny, tworzyli majoraty, a że do ziemi jest tam zawsze tytuł przywiązany, więc codzień się zdarza, że spotkasz dwóch braci, z których starszy odziedziczywszy majorat ma majątek i tytuł, mło-

dszy zaś jest biedakiem i żadnego nie ma tytułu. Córki wtrącano najczęściej do klasztoru. Mezaljansu nie wolno im było zrobić, a ciężarem dla najstarszego brata także być nie mogły. Większa połowa zakonnic w królestwie Neapolitańskim należała do takich rodzin arystokratycznych.

Karol, z którym poznałem czytelnika w podróży przez Mont-Cenis, podczas swego pobytu we Włoszech, spisywał codziennie swój pamiętnik. Z niego wyjmuję teraz ustęp, tyczący się włoskiej arystokracji.

„Ci Włosi — pisał w styczniu r. 1865 — to nieodrodni potomkowie Rzymian. Jak tamci na forum, tak ci żyją na ulicy. Możesz znać Włocha dziesięć lat, widywać go codzień trzy razy w kawiarni, przechadzać się z nim całemi godzinami za miastem, możesz się nawet uważać za jego przyjaciela, a mimo to nie zaprosi cię nigdy do domu. Jak Turek Haremu, tak on nie chce pokazać swoich kobiet. Między arystokracją życie większe. W karnawale każdy dom zamożniejszy daje wieczorki tańcujące; na wiosnę wszyscy wyjeżdżają na villeggiaturę, gdzie ich także możesz odwidzieć, jeźliś się im w zimie podobał. Lecz jak dostać się do tych kół szczelnie zamkniętych, jeżeli nie masz wielkiego tytułu, który słuch mile drażni, albo wielkiego majątku, przed którym wszystko czołem bije? Chyba przypadkiem. Od pięciu miesięcy mieszkam w pałacu książąt B W mieście znam kilkaset osób, a mimo to nigdzie mnie nie zaproszono. To mnie zaczyna gniewać. Księżna B. jest staruszką sześćdziesięcioletnią. Majątek jest bardzo mały. Ma dwóch synów, z których jeden służy w ułanach, drugi siedzi przy matce. Drągal ten wyrósł jak dąb w lesie, nie umiejąc nawet dobrze po włosku; ze wszystkimi rozmawia w ludowem narzeczu, którego dotąd nie mogłem się nauczyć. Znajomość moja z księżną prawie żadna. Spotkawszy się na wschodach mówię *buon giorno* albo *buona sera* i na tem koniec. Miesięczny czynsz odsyłam jej przez służącego.“

(Ciąg dalszy nastąpi).

MONTE-LEONE.

POWIEŚĆ

Pawła d'Aigremont. (22)

(Ciąg dalszy).

Lafont mówiąc i słuchając, napisał receptę.

— Spotkałem na schodach pana Ludwika Berthier — rzekł — a ponieważ znam go trochę prosiłem zatem, ażeby przyniósł z apteki najbliższej lekarstw najniezbędniejszych. Lecz potrzebuję zupełnie innych. Zechciej pan kazać przynieść jak najprędzej.

Leon wybiegł do przedpokoju.

— Zanim przyniosą lekarstwa, trzeba panu baronowi bańki przystawić. Proszę przywołać służącego do pomocy.

Lydja kryjąca się dotąd w cieniu, odezwała się teraz:

— Przyzwyczajona jestem pielęgnować chorych, pozwól doktorze, że ci dopomogę.

Nie śmiał odmówić i zaczął przygotowania. W tej chwili powrócił Ludwik Berthier; Lafont ostentacyjnie zapytał:

— Czy masz pan lekarstwa, o jakie prosiłem?... Młodszy Berthier zrozumiał w jaki sposób doktór wytłómaczył jego nieobecność.

— Oto są! — rzekł podając flaszeczki. Potem zapytał: — Jakżeś pan znalazł brata mojego?...

— Chory bardzo, to pewna... lecz nie bez nadziei. Pomoc natychmiastowa i spokój bezwzględny użyczą mu zdrowia.

Baronowa wzniosła swe piękne oczy do nieba:

— Oby Bóg pana wysłuchał, doktorze! — rzekła.

Po dwóch godzinach zaledwie Franciszek zaczął nieco przytomność odzyskiwać. Pomimo wyczerpania, wszyscy go otoczyli. Doktór rozkazał surowo, żeby się odsunęli.

— Lekarstwa skutkują — rzekł — ocalimy go... Lecz potrzeba ślepo mnie słuchać. Usuńcie się państwo, chory musi pozostać w spokoju i nie widzieć nikogo.

Baron z trudnością uniósł powieki, lecz wzrok miał niepewny. spojrzenie szklane. Chciał przemówić, ale wydawał tylko dźwięki niezrozumiałe.

Doktór dał mu zażyć łyżeczkę lekarstwa, które Ludwik przyniósł.

— Śpij pan! — rzekł — sen cię uspokoi, a po nim wrócą siły i przytomność.

Franciszek, jak gdyby zrozumiał, przymknął oczy natychmiast. W parę minut oddech z początku ciężki, zwolniał i stał się cichy, regularny.

Doktór Lafont pogasił wszystkie świece w kandelabrach, pozostawił tylko dwie lampy z ciemnemi abażurami i te jeszcze ustawił po za kotarą łóżka.

— Potrzeba, aby chory mój spał — rzekł. — Ja pozostanę tu do dnia białego, lecz raz jeszcze proszę, ażeby wszyscy wyszli z pokoju.

— Ja nie wyjdę! — oświadczyła Edyta.

— Ani ja! — dodał Leon.

— Zrobicie państwo, jak wam się podoba — rzekł Lafont krótko. — Spełniłem moją powinność. Jeżeli bierzecie państwo odpowiedzialność za pogorszenie stanu pana barona swoją obecnością, nie mogę zabronić.

— Nie uczynimy najmniejszego hałasu.

— Pan baron tak strasznie jest zdenerwowany, że przez sen odczuwa oddech i obecność osób w pokoju, a to mu szkodzi. W dodatku, długo może jeszcze potrzebować opieki; cóż państwo zrobicie, jeśli w pierwszym dniu wyczerpniecie wszystkie siły wasze?

— Pomimo to zostaniemy! odparł Leon.

— Siły ludzkie mają pewne granice i pan będziesz musiał pomimo woli ojca odstąpić.

— Idź, odpocznij Leonie — rzekła baronowa. Nad ranem razem z Lydją mnie zastąpicie.

— Ty mamo idź się połóż, ja tu zostanę, możesz być spokojna — prosiła Lydja.

— Nie upierajcie się dzieci, rano przyjdzie na was kolej — zadecydowała Edyta. Zostanę, nie mogłabym i tak zasnąć.

— Ja zaś — odezwał się Ludwik — będę na zawołanie w przedpokoju... Pewny jestem, że nie zasnę, zwykle nad ranem idę spać dopiero, a jeżeliby zaszło co nowego, zawołam cię zaraz Leonie.

Nigdy głos Ludwika nie miał tyle słodyczy. Ani Edyta, ani Leon nie śmieli nie przyjąć ofiary Ludwika. Coby pomyślał doktór, obcy człowiek, że nie życzą sobie obecności brata przy chorym, przy jego dobroczyńcy?...

Leon i Lydja z wielkim żalem odejść musieli; Ludwik Berthier wyszedł na palcach do przedpokoju, a baronowa zasiadła w dużym fotelu przy łożu męża.

Franciszek oddychał wciąż równo i spokojnie. Od kilku minut Ludwik wsunął się do przedpokoju i ukrył się za firanką. Doktór podszedł do niego.

— Czy można? — zapytał Ludwik. — Czy bratowa moja zasnęła także?...

— Możesz robić, co ci się podoba, brat cię nie usłyszy, stan jego jest beznadziejny, spiesz się, radzę ci, nowy atak może go bowiem zabić nagle. Co do twojej bratowej, to zupełnie co innego. Poczekaj chwilę, przekonam się...

Ludwik znikł znowu poza firanką, a doktór Lafont bardzo ostrożnie przysunął się do baronowej. Oczy miała zamknięte i wydawała się pogrążoną w śnie głębokim. Lecz skoro doktór pochylił się nad nią, drgnęła, otworzyła oczy i wyprostowała się, drżąc cała.

— Boże! — jęknęła — co się stało?... Franciszek?... Czy mu gorzej?...

Doktór bez najmniejszego zmieszania odpowiedział cicho:

— Nie, pan baron śpi spokojnie. Lecz ten spoczynek, na którym wszystko zależy przerwie się niebawem, jeżeli pani nie pohamuje swoich nerwów.

Baronowa spojrzała na mówiącego ze zdziwieniem.

— Zdaje mi się przeciwnie, że spałam spokojnie.

— Spała pani rzeczywiście, lecz rzucała się tak przez sen; spazmowała pani i jęczała, tak, iż byłem w obawie, że pan baron się obudzi. — I nie dając baronowej przyjść do słowa, dodał: — Czy eter służy pani w podnieceniu nerwowem?...

— Tak jest... używam go w takich wypadkach.

— Mam właśnie eter, którym nacierałem barona; przygotuję pani małą dozę z wodą ocukrzoną.

Edyta podniosła się z fotelu.

— Mogę sama to zrobić — rzekła.

— O! pani, nie zrobisz tej przykrości doktorowi.

Pani Berthier przez dobroć wrodzoną, nie śmiała odmówić. Doktór wziął z tacy szklankę, nalał wody, włożył cukru, domieszał eteru, a ponieważ stał tyłem do Edyty, łatwo mu przyszło dodać silnej dozy opjum do napoju.

— Proszę, wypij pani, jeżeli chcesz pozostać przy mężu.

Wypiła jedym tchem, skrzywiła się i oddając szklankę, rzekła:

— Dziwny smak!...

Lafont uśmiechnął się.

— Zdaje się pani!...

Nie upłynęło kilka minut, a już baronowa, jak śmierć biała z głową w tył przewróconą, spała snem ołowianym.

Franciszek, w ogromnym łożu, z ustami i oczami przymkniętemi, leżał bez ruchu, podobny do trupa.

X.

Spinka złota.

Doktór Lafont zbadał oboje uważnie.

Skinął na Ludwika Berthier, który ze swego kąta wodził za nim oczami. Ludwik przysunął się żywo.

— Bratowa twoja śpi, nie obawiaj się niczego — rzekł — tylko stan twego brata się pogorsza, śpiesz się.

— Dobrze — odezwał się Berthier młodszy. — Wyjdź na parę minut do drugiego pokoju, jak skończę co mam zrobić, przywołam cię....

— Nie głupim — pomyślał doktór. — Takiego człowieka, jak Ludwik Berthier, mieć całe życie w swych rękach; to gratka nie lada.

— Nie — odrzekł z mocą — rób przy mnie to, co masz robić; ja nie odstąpię chorego.

A ponieważ twarz Ludwika żółta zawsze, zzieleniała z gniewu, doktór dodał:

— Próżny bunt, ja nie ustąpię. Jednakże uprzedzam, że czas nagli...

— Trzeba go będzie opłacić... i pewnie bardzo drogo — pomyślał Ludwik.

Nie mógł się wahać, ani namyślać... Będzie w mocy tego nędznika przez całe życie, to nieuniknione; lecz nie miał wyboru.

Za wszelką cenę potrzebował tego, co było zamknięte w biurku Franciszka, co podejrzywał podczas pierwszego ataku; potrzebował tego pod grozą pozostania w nędzy okrutnej...

Na kanapie leżało ubranie barona, żaden z lokajów nie pomyślał o sprzątaniu podczas ogólnego zamieszania. Ludwik ze złodziejską zręcznością przetrząsł kieszenie kamizelki, surduta i spodni. Naraz twarz zajaśniała mu tryumfem. Trzymał w ręku pęk kluczyków błyszczących. Wskazał gestem rozkazującym doktorowi, ażeby stał pomiędzy Franciszkiem a Edytą.

Podbiegł do biurka w rogu pokoju, skierował na nie światło lampy, nacisnął listwę oznaczającą szufladkę i ukazał się mu zamek zręcznie zamaskowany.

Próbował wszystkich kluczy z kolei, przedostatni wszedł łatwo w zamek. Zakręcił dwa razy, biurko się otworzyło. Poznał, że tylko z wierzchu było filigranowe, wewnątrz była to kasa żelazna. Na półkach leżały papiery w porządku. Ludwik przeglądał jedne po drugich. Straszny zawód wybił się na jego fizjognomji.

— Renty, akcje kolejowe, obligacje, umowy — mówił w miarę przeglądania. A jednak słyszałem, dobrze!... Powiedział. że papiery tu się znajdują, papiery, które odkryją mi, czego od przyszłości spodziewać się mogę!... Możem ja przeoczył!...

Obejrzał się i przerzucał na nowo. Franciszek Berthier poruszył się słabo.

Z poza okien nieprzysłoniętych, blade światło poranku wpadło. Chłód poprzedzający świt wstrząsnął Edytą.

— Spiesz się! — mruknął doktór Lafont — spiesz się!...

Ludwik szukał ciągle. Twarz mu się wykrzywiła, z czoła pot ściekał. Nakoniec, przekładając papiery na najniższej półce, dojrzał kluczyk maleńki. Tkwił on mocno w zamku. Zamek był od dna podwójnego, czy od drugiej kasy zajmującej spód biurka.

Ludwik obrócił klucz, uniósł półkę i ujrzał jeden jedyny zwój papierów. Wziął go do ręki. Na spodzie pakietu było coś napisane. Przy słabem świetle lampy, Ludwik odczytał co następuje:

„Hrabia d'Aubagne“.

a pod tem:

„Krystyna Fergusson“.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Część urzędowa.

Konkursy. Sąd pow. w Myślenicach poszukuje djetarjusza z szybkiem i czytelnem pismem, obeznanego z manipulacją sądową. Przyjęcie od 1 maja. Pensja 30 złr. miesięcznie.

Prezydjum sądu wyższego w Krakowie rozpisuje konkurs na posadę starszego radcy rachunkowego w VII klasie rangi. Termin do 30 b. m.

Toż prezydjum ogłasza konkurs na posadę praktykanta rachunkowego przy oddziale rach. Adjutum 300 złr. Termin do 15 maja b. r.

Wydział kraj. ogłasza konkurs celem nadania sześciu gal. miejsc funduszowych w c. k. wojskowych zakładach wychowawczych. Kandydaci, którzy już są asenterowani nie będą przyjęci. Termin do 10 maja b. r.

Wydział kraj. w celu nadania pięciu bezpłatnych miejsc funduszowych w c. k. zakładach wojskowych z fundacji pn. „Cesarza Franciszka Józefa I jubileuszowa fundacja“ rozpisuje konkurs. Kandydaci, którzy już są asenterowani nie będą przyjęci. Termin do 10 maja b. r.

(*Gazeta lwowska* Nr. 83).

CO ŻYCIE NIESIE.

UWAGI.

Mówią że każdy wieśniak jest ciemny, że nauki nie potrzebuje i najlepiej będzie jeźli mu pozwolą żyć dalej w nieświadomości tego, co go otacza i co na świecie się dzieje.

Otóż nic mylniejszego nad to zapatrywanie. Jeźli który chłop, to nasz, polski, jest wielce ciekawy, wszystko go interesuje, lubi uczyć się i badać, a ktoby sądził że przesadzam, temu przytoczę kilka faktów, wprawdzie z dziedziny anegdotycznej, które jednak dla tego, iż są prawdziwe, rzucają jasne światło na uzdolnienie naszego wieśniaka i zamykają usta tym, którzy nie wierzą ani w jego uzdolnienie, ani w jego rozwój.

Hr. Starzeński, gdyśmy ubiegłego tygodnia rozmawiali w Kołomyi, opowiadał mi rzecz taką:

— Kilka lat temu, urządziłem tu publiczną wystawę z mego Muzeum huculskiego, z czego dochód przeznaczyłem na cele publiczne. Pewnego dnia ujrzałem przez okno Hucuła, okazałej postawy, strojnie ubranego, który wszedł do sali z biletem w ręku. Ponieważ ja sam byłem ciceronem w mojem muzeum, przeto pospieszyłem na jego przyjęcie. Człowiek ten interesował się wystawą niezmiernie, każdy przedmiot badał, a gdy już wszystko obejrzał, zapytał mnie z pewnem zakłopotaniem:

— A nie ma też pan hrabia na zbyciu jakiej monety z czasów Stefana Batorego?

Teraz zauważyłem, że miał on na piersiach długi łańcuch, od szyi do pasa, rodzaj łańcuszka od zegarka, cały nanizany monetami polskiemi, wśród których znajdowało się kilka wielkiej wartości.

— Nie mam takiej monety — odrzekłem — ale jak widzę, to wy się w numizmatach kochacie.

— A tak, lubię je panie hrabio, bo to przecie nasze... Każdy przecież powinien wiedzieć, jacy króle u nas panowali.

Ów Hucuł nazywał się Grzegorz Dewdjuk, pochodził z powiatu Kossowskiego, gdzie już świat na prawdę deskami zabity. A jednak wiedział on co to była Polska i wielce się tem interesował, co się do jej historji odnosiło.

Hr. Starzeński wziął jego i jeszcze dwóch innych hucułów i przywiózł ich do Krakowa na pogrzeb Mickiewicza.

A teraz inna historja.

Na Ukrainie opowiadają, że lat temu sześćdziesiąt, czy ośmdziesiąt, jeden z tamtejszych magnatów, któryś Branicki czy też Rzewuski założył się ze swoim sąsiadem, że kozak jego, Semko, pojedzie z listem konno do Paryża i odpowiedź ztamtąd przywiezie. Zakład był wysoki, a gdy umowa stanęła, magnat kazał Semka zawołać.

— Słuchaj, chłopcze — rzekł do niego — chcę ci poruczyć do spełnienia pewną rzecz ważną, lecz boję się, czy mnie nie zawiedziesz.

— Uczynię, jak jaśnie pan każe — kozak odpowiedział.

— Pamiętasz tego Francuza, który roku ubiegłego był przy paniczach?

— Tego, co się nazywał musie Réné?

— Tak jest, tego. A wiesz gdzie on jest teraz?

— Powiadają że w Paryżu.

— A wiesz gdzie Paryż?

— Na końcu języka, jaśnie panie.

— Zuch z ciebie chłopcze! Skoro tak jasno odpowiadasz i wiesz gdzie Paryż, więc weź ten oto list, przeznaczony dla pana Réné, burgrabia da ci dwieście dukatów na drogę, w stajni wybierzesz sobie najlepszego konia i pojedziesz natychmiast do Paryża, zkąd przywieziesz mi odpowiedź. Zrozumiałeś?

— Zrozumiałem, jaśnie panie.

— A więc jedź z Bogiem!

Kozak magnata w rękę pocałował, za drzwiami kilka razy w głowę się poskrobał, być może że mu się nawet markotno zrobiło, ale ponieważ klamka już zapadła, więc poszedł do burgrabiego po pieniądze, wybrał sobie konia, przeżegnał się, westchnął i pojechał do Paryża.

Nie było go rok, może nawet dłużej, magnat zaczyna się niepokoić, bo nie tyle utrata pieniędzy przykrość mu sprawiała, co wstyd, że zakład przegrał, aż tu pewnego wieczora — gdy cała rodzina była zebrana na terasie pałacu — powiedziano mu, że Semko powrócił.

Ucieszył się magnat i kazał go wezwać. Wszedł kozak z miną poważną, skłonił się panu do nóg i oddał mu list.

Była to odpowiedź pana Réné.

— I jakżeś się dostał do Paryża? — magnat ciekawie zapytał.

— Pojechałem, jaśnie panie, najpierw do Berdyczowa, bo wiem, że tamtędy jedzie się wszędzie, w Berdyczowie żydki powiedzieli mi, że do Paryża trzeba obrać drogę na Lwów i Kraków, a że tam mogłem się jeszcze rozmówić, więc bez kłopotu dostałem się aż do Wiednia. Ottąd było mi trudniej, ale ponieważ jakiś Polak poczciwy, których we Wiedniu jest dużo, nauczył mnie, jak po niemiecku pytać: Którędy droga do Paryża? więc powoli dojechałem do granic Francji, a potem i do Paryża. Najgorzej było, gdym już na miejscu stanął. W Paryżu samym obskoczyło mnie może stu chłopaków, którzy wyśmiewali się z mego ubrania. Ja ich pytam po polsku: gdzie mieszka pan Réné? a oni jeszcze lepiej się śmieją. Ponieważ mnie to zaczęło gniewać, więc nie myśląc wiele jak chwycę jednego lamparta za kołnierz, jak go ściągnę nahajką po plecach, jak się zrobi krzyk, rwetes, hałas, tak przybiegli policjanci i zaprowadzili mnie do policji. Tam sprowadzili mi zaraz tłomacza a za pół godziny byłem już u pana Réné.

Jeźliby kto sądził, że zdarzenie powyżej opisane jest zwykłą anegdotą, natenczas opowiem mu fakt zupełnie świeży, za którego autentyczność ja sam biorę na siebie całą odpowiedzialność.

W Paryżu mieszka dr Loewenhard, Polak, którego pierwsza żona była śp. Pustowójtówna, pamiętna z r. 1863, a zaś druga jego żona jest obecnie panna Piechocka, Krakowianka. Gdy w roku ubiegłym pani Loewenhard bawiła w Krakowie, postanowiła sprowadzić sobie stąd stangreta, gdyż służba francuska jest nierównie droższa i bardziej wymagająca niż nasza.

Niedawno temu rodzina pani Ł. znalazłszy tu niejakiego Sobka, który oświadczył że chętnie do Paryża pojedzie, acz nie mówił żadnym innym językiem krom polskim, kupiła mu bilet i wysłała go nad Sekwanę. Pani Loewenhard uwiadomiona którego dnia i o której godzinie ma Sobek przyjechać, udała się po niego sama na kolej, lecz jakież było jej zdziwienie, gdy na dworcu stanąwszy Sobka wcale nie zastała. Zmartwiona wraca do domu, tu jednak widzi, że w kuchni siedzi Sobek za stołem i zajadając smaczne kąski, czułe spojrzenia rzuca ku kucharce, która acz po polsku nie umiała, jednakowoż nie odwracała się od niego z niechęcią...

I okazało się, że nasz Sobek w wagonie przed Paryżem poznał jakiegoś Polaka, który go na dworcu wpakował do dorożki i wysłał gdzie należało.

I mówcie że chłop nasz nie ma sprytu, że oświata nie jest mu potrzebna.

* * *

Chociaż chrystjanizm dźwignął nas z upadku, oczyścił obyczaje i dusze nasze uszlachetnił — nie da się jednak zaprzeczyć, że pewne uczucia są człowiekowi właściwe już w zaraniu cywilizacji, kiedy ludzkość nie miała jeszcze jasnego wyobrażenia o tem co godziwe, a co zdrożne, co piękne i podniosłe, a co brzydkie i poziome.

Witold, w. książę litewski, chociaż dopiero był ochrzczony, a pod względem ogłady z pewnością nie stał wyżej od zamożnego włościanina za dni naszych, miał już jasne wyobrażenie o tem, cośmy „ludzkością" zwykli nazywać, bo oto co się raz u niego stało.

Dnia pewnego, gdy jak według zwyczaju, na niższym zamku w Wilnie, sądy sprawował, przyprowadzono do jego tronu kilku Tatarów pojmanych na łupiestwie.

— Wpadliście w granice mojego księstwa? — zapytał ich książę.

— Tak, książę!

— A czemuście łupili, czemu mordowali?

— Byliśmy głodni, chcieliśmy jeść a nikt nam nie chciał nic dać.

— I czyście jeszcze głodni?

— Jeszcze.

Książę zwrócił się do swojej straży.

— Zabierzcie ich i nakarmcie, a potem, gdy już nie będą głodni, przyprowadźcie ich napowrót przed mój tron.

Stało się, jak książę rozkazał, a gdy Tatarzy znów przed nim stanęli, Witold zapytał czy by byli syci.

— Jesteśmy syci — odrzekli, na twarz przed nim padając.

— Cieszy mnie to. Każdy człowiek ma prawo żyć, więc i jeść powinien, w państwie mojem niech nikt głodnym nie będzie, ale ponieważ dopuściliście się zbrodni, więc teraz głowy oddacie pod miecz.

I tak się stało. Za chwilę wyrok został spełniony. Nie jest to anegdota, ale fakt historyczny. Że największy antagonizm między ludźmi nie powinien w ich sercach uczuć ludzkich zagłuszać, tego uczy nas stare przysłowie polskie, które mówi: „ze dobrzy ludzie na jednym wózku do sądu jeżdżą". Można się procesować, kłócić, zwalczać, ale i wśród takiego zatargu nie godzi się zapominać, że wszyscy jesteśmy stworzeni na obraz i podobieństwo Boskie, więc też biedniejszego nie godzi się robić jeszcze biedniejszym. Skoro procesujesz się z biednym, a on do sądu nie ma o czem wyjechać, więc weź go na swój wózek i nie urągaj jego nędzy.

Uwagi powyższe żywo w myśli mi stanęły, gdy *Czas* krakowski kilka dni temu z widocznem zadowoleniem ogłosił, że ks. Stojałowskiemu za różne długi sprzedano wszystkie ruchomości i trochę wina, które miał u siebie. Nie myślę ja tu kruszyć kopji w obronie ks. Stojałowskiego, zwłaszcza, że wiem, jak ciężko zawinił on przeciw swojej władzy duchownej, ale ponieważ sprzedanie jego gratów mogło tylko dla tego nastąpić, że jest on **biednym**, przeto pytam: azaliż uczucie ludzkości pozwala na takie wyszydzanie kapłana dla tego, że on jest naszym przeciwnikiem politycznym? Czyż godzi się urągać ubóstwu? O zwalczajcie ludzi niebezpiecznych, ale nakarmcie ich gdy łakną, nie urągajcie ich nędzy, bo kto inaczej postępuje, ten składa tem dowód, że sam pod piętem żebrem nie ma tego, co się sercem nazywa!

Kraków d. 12 kwietnia. *Verax.*

Nieprzyjaciel kobiet.

Napisał Teodor Smolarz.

Wszyscy śmiertelnicy mają podobno chociażby maleńkiego bzika, którego pilnie strzegą i z którym nigdy się nie rozłączają. Od tej wady nie są wolni nawet wielcy i sławni ludzie: Napoleon I gdy stanął na jakimś placu otoczonym w około domami, liczył zawsze okna; Bismark bez flanelowego kaftanika nie byłby się odważył udać do parlamentu; Jan Klapski, inspektor podatkowy, jeżeli nie wypił pół flaszki kminkówki, nie był wstanie skontra przeprowadzić; Mojżesz Pomeranz, jeżeli rano na ulicy spotkał prokuratora, nie pożyczył w tym dniu nikomu pieniędzy nawet na 100 procent; Hurko przed spaniem musiał wąchać pół godziny słoik z dziegciem a Katarzyna Wielka, ilekroć jej ulubiony pudel na którego z jej kochanków zaszczekał, wyrzucała zaraz za drzwi nie pudla, lecz kochanka.

Nikt się też nie zadziwi, że bohater tej noweli, radca Atanazy Pipikowski, liczący lat pięćdziesiąt i będący kawalerem, był także dziwakiem, czyli miał maleńkiego bzika. Oto kobiet bał się jak djabeł święconej wody, a zaś za smarzony kawałek łososia byłby sprzedał swoje pierworodztwo.

W każdej kobiecie widział wroga swej wolności, każdej się bał, a gdy rozeszła się wieść, że mają podwyższać pensje wdów, obawa jego przed kobietami znacznie się wzmogła i drżał na samą myśl, że go podstępem zaprządz mogą do małżeńskiego jarzma. Do towarzystw, w których mógł spotkać kobiety, nie chodził; gdy w jednej kawiarni, do której od lat uczęszczał, ustanowiono kasjerkę niemłodą niewiastę, zaraz tam chodzić zaprzestał, a modlił się tylko do świętych rodzaju męskiego.

Co było powodem tej kobietofobji Atanazego trudno wyjaśnić. Ci, którzy go znali od dawna, utrzymywali, że doznał zawodu w miłości będąc jeszcze młodzieńcem i od tego czasu kobiety znienawidził.

Atanazy gdy zjadł kawałek łososia i w biurze nie miał zaległości, już był szczęśliwy i większego szczęścia ani na tym świecie, ani w przyszłym nie żądał. Raj wyobrażał sobie bez niewiast i bez aktów sądowych, za to przepełniony łososiami przysposobionemi do jadła.

W urzędzie, pomimo swoich dziwactw co do kobiet, był przez wszystkich kolegów z powodu prawości charakteru wielce ceniony. Największą jego przyjaźnią cieszył się sekretarz Józef Pukiewicz, a to głównie dla tego, że chociaż sam był żonaty, ile razy pokłócił się z żoną, wygadywał przed Atanazym na kobiety niestworzone rzeczy i postanowienie tegoż pozostania w stanie kawalerskim nazywał szczytem ludzkiej mądrości. Józef Pukiewicz odważył się też dlatego zaprosić Atanazego do siebie na małą kolacyjkę, a że trafił na silną opozycją, o tem mówić jest zbytecznem. Sekretarz znał jednak słabe strony Atanazego: oznajmił mu więc że otrzymał wspaniałego łososia, którym gości zamyśla uraczyć, a nadto przyrzekł, że zaprosi tylko mężatki, niemniej zapewnił Atanazego, że o swoją wolność może być zupełnie spokojny. Atanazy wahał się bardzo długo, ale nareszcie skutkiem nalegań ze strony sekretarza i wobec nadziei zjedzenia łososia przyrzekł, że przybędzie, ale zarazem zastrzegł sobie, że zaraz po kolacji uda się do domu.

Rzeczywiście wystrojony we frak i biały krawat zjawił się wieczorem w saloniku sekretarza, lecz gdy zobaczył wielką liczbę pań i panien, ze strachu omal nie zamienił się w słup soli, a że się nie zamienił należy to przypisać raz temu, że obecnie zamienianie się w słup soli nie jest w modzie i wobec monopolu solnego za defraudację cłową mogłoby być uważane, powtóre historja wspomina jedynie o kobietach zamieniających się w słup soli, co zaś do mężczyzn żadnych pod tym względem przykładów nie przytacza. Radca usiłował opuścić mieszkanie sekretarza, lecz ten zamknął drzwi i odejść mu nie pozwolił. Atanazy będąc zmuszony pozostać, udał się do pokoju w którym grano w karty i przesiedział tam aż do kolacji, przyczyniając się do ożywienia towarzystwa paleniem papierosów.

Gdy nadszedł czas kolacji, na usilne prośby sekretarza i aby się nie skompromitować wobec zebranych gości, Atanazy nietylko do kolacji popro-

wadził Karolinę, siostrę sekretarza, lecz nawet musiał przy niej usiąść za stołem. Do siostry sekretarza, siedzącej po jego prawej stronie i do jakiejś drugiej niewiasty, która po jego lewej stronie siedziała, przez całą kolację nie wyrzekł słowa, a położenie swoje porównywał do położenia dzielnego włoskiego podpułkownika Galiana, oblężonego w fortecy Makalle przez wojsko króla Menelika. Patrzał tylko przed siebie, a że naprzeciwko niego za stołem siedział emerytowany radca skarbowy, więc tak pilnie wpatrywał się w jego twarz, podobną do facjaty buldoga cierpiącego na czarną melancholję, że tenże myślał, że mu coś siadło na nos, lub że sobie czemś twarz powalał i co chwila twarz sobie chustką obcierał.

Gdy podano łososia, Atanazy z całego serca żałował, że łosoś nie jest wielorybem, a on Jonaszem, gdyż połknięty byłby się wydostał z przykrej sytuacji, a nawet przypuszczał, że chociażby go wieloryb dopiero za dni kilka wyrzucił przed gmachem sądowym, prezydent z powodu jego kilkudniowej nieobecności nie byłby mu wytoczył śledztwa dyscyplinarnego.

Atanazy w tem strasznem dla niego położeniu, nie mając nawet jak podpułkownik Galiano nadzieji odsieczy, lecz będąc za to o tyle w położeniu korzystniejszem od Galjana, że mógł jeść i pić ile mu się tylko podobało, pił przez cały czas kolacji bardzo wiele. Rezultatem tego było, że wkrótce zamiast twarzy radcy skarbowego, widział twarz króla Menelika, potem żabę, potem czarne, małe, skaczące zwierzątko, które ze skarbowością nic nie ma do czynienia, a w końcu nic już nie widział... Dopiero na drugi dzień przebudził się na łóżku w swojej sypialni, ale nie mógł sobie przypomnieć kiedy i jak dostał się do swego łóżka? Przeszukawszy całe mieszkanie, gdy się przekonał, że nigdzie, ani w szafach, ani pod kanapą nie ma kobiety, która korzystając z jego niepoczytalnego stanu mogła się ukryć gdzieś w mieszkaniu, by go do małżeństwa zmusić, udał się do biura. Zaledwie zabrał się do pracy, wszedł do jego biura sekretarz Józef Pukiewicz, a gdy się z nim serdecznie przywitał, rzekł do niego:

Więc dziś kochany radco, przyjdziesz do mnie popołudniu na kawę. Siostra oczekuje cię z niecierpliwością i zasyła ci serdeczne ukłony.

— Za ukłony dziękuję, ale na kawę przybyć nie mogę.

— Jakto? Wszak siostrze przyrzekłeś. Dałeś słowo honoru!

— Ja miałem przyrzec? dać słowo honoru? Nie, to być nie może!

— Byłem przy tem i słyszałem, jak podczas kolacji oświadczyłeś się Karolinie, a gdy przyrzekła zostać twoją żoną, dałeś jej słowo honoru, że dziś popołudniu przyjdziesz do niej, by się umówić kiedy będzie wasz ślub.

Atanazy usłyszawszy te słowa, doznał takiego uczucia jakby go kto zanurzył najpierw w kadzi z zimną wodą, a potem włożył do kotła napełnionego wrzącą oliwą.

— Ależ kolego! to być nie może! — zawołał radca.

— Zapomniałeś radco co było, ale wiem, że sobie przypomnisz... Dałeś słowo honoru i pewnie go nie złamiesz. Do widzenia!

Sekretarz z biura wyszedł, a radca padł bezwładnie na swój urzędowy fotel i doznawał takiego uczucia, jak gdyby mu po mózgu chodziło tysiące mrówek. Zamyślił się głęboko.

— Co tu robić? — mówił do siebie. — Dałem słowo honoru, jestem człowiekiem honorowym, iść muszę. Jak z tego wybrnąć? Niech mnie djabli wezmą, jeżeli pamiętam że się oświadczyłem; pamiętam radcę skarbowego, Menelika, żabę, ale oświadczyn i Karoliny nie mogę sobie przypomnieć!

Po chwili otworzył kodeks cywilny i przeglądał wszystkie paragrafy, odnoszące się do tych którzy nie mogą zawrzeć ważnego małżeństwa. Na jednym paragrafie utknął i tak mówił do siebie:

— Ten paragraf mnie uratuje i będę się mógł z honorem wycofać — no i nie będę zmuszony powiedzieć: Pani, wybacz mi, bo byłem urżnięty jak bela i nie wiedziałem co mówię!

Po tym monologu wstał Atanazy szybko z fotelu, wyszedł z biura i udał się do znajomego doktora, którego usilnie prosił, by mu wystawił świadectwo, że cierpi czasami na obłęd umysłowy i że w tym stanie za to co czyni i mówi nie może być odpowiedzialnym. Doktór wahał się wystawić żądane świadectwo, ale gdy radca zaręczył, że zrobi z niego jedynie użytek prywatny, wystawił na stęplu poświadczenie żądane.

Po otrzymaniu świadectwa Atanazy odetchnął, poszedł spokojniejszy na objad, a po objedzie z świadectwem doktora w kieszeni i z bijącem sercem w piersi, z miną człowieka, który przebył całe oblężenie Paryża, jedząc tylko szczury i myszy, udał się do mieszkania sekretarza.

Przyjęto go serdecznie, a szczególnie cieszyła się z łatwych do zrozumienia powodów, panna Karolina. Rozmawiano o rzeczach obojętnych, a później zasiedli wszyscy do kawy. O oświadczynach nie było mowy: dla Atanazego każdy łyk kawy był wrzącą smołą. Zniecierpliwiony i chcąc raz sprawę zakończyć, prosił Karoliny o kilka chwil rozmowy na osobności. Karolina i radca udali się do przyległego salonu, a gdy usiedli, radca tak ciężko westchnął, jak wulkan mający raz na zawsze zastygnąć, a potem głosem drżącym od wzruszenia tak przemówił:

— Niech mi pani wierzy, że kobiety cenię wysoko... bardzo wysoko. Poznawszy panią, nabrałem do niej wielkiego zaufania i dlatego z całą otwartością udaję się do pani o poradę. Wiem, że mi pani dobrej rady udzieli i przyzna słuszność, że tak, a nie inaczej powinienem postąpić.

— Żądasz pan rady? dobrze, chętnie jej udzielę, lecz czy będzie dobrą, nie wiem.

— Otóż, proszę pani, czy pani sądzisz, że człowiek cierpiący czasem na obłąkanie, tracący rozum może się ożenić?

— Nie sądzę iżby to mogło być przeszkodą do małżeństwa, przeciwnie, dla człowieka takiego kobieta żona może stać się prawdziwym aniołem opiekuńczym.

— Jakto!? — zawołał radca przerażony — pani zdecydowałabyś się zostać żoną warjata?

— Gdybym go kochała...

— Więc czytaj! — zawołał Atanazy, wręczając Karolinie świadectwo lekarskie.

— Jak to? to pan cierpisz na chwilowe obłąkanie?

— Tak, ja pani, ja cierpię, ja jestem kompletnym warjatem i dlatego nie mogę zostać mężem pani!

— Skąd przypuszczenie, że ja chcę być żoną pana?

— Brat pani mówił...

— A to figlarz! Jestem mężatką, żoną pańską być nie mogę.

Atanazy usłyszawszy te słowa oddychał tak silnie jak koń wyścigowy po przybyciu do mety. W tej chwili wszedł do salonu sekretarz i śmiejąc się serdecznie, przepraszał radcę, że sobie z niego śmiał zażartować. Atanazy zerwał się z fotelu, pochwycił za kapelusz i nie pożegnawszy się z nikim, wybiegł z mieszkania.

Długi czas potem zajściu radca gniewał się na sekretarza, ale obawiając się, by ten nie zużytkował na jego niekorzyść świadectwa, które zabrać ze sobą zapomniał, dał się przeprosić. Kobiet obawia się, obecnie jeszcze więcej aniżeli pierwej i dziś chociażby go kto zaprosił na łososia, tak wielkiego jak wieloryb, do towarzystwa w którem są kobiety pewnie nie pójdzie.

Literatura polska.

„Janka" Zapolskiej.

Pani Gabrjela Śnieżko-Zapolska należy w naszej współczesnej literaturze do tych osobistości, które wiele obiecywały a mało dotrzymały.

Obdarzona znacznym zapasem temperamentu pisarskiego, pomysłowa i ruchliwa, miała przed sobą wybitną przyszłość autorską i dziennikarską. Nierówności i wybryki lat wiosennyh byłyby się z czasem wygładziły, gdyby autorka „Małaszki" chciała zrozumieć, że pisarz może się rozwijać prawidłowo tylko na tle własnego społeczeństwa.

Ale duszę artystyczną p. Zapolskiej zatruła od samego początku zgnilizna paryska, przypominająca niefortunne eksperymenty konającej Grecji.

Pani Zapolskiej zdaje się, że tylko Francuzi umieją myśleć i pisać, że tylko nad Sekwaną kwitnie literatura i sztuka. Naśladując gorliwie swoich mistrzów, straciła nasamprzód zmysł do przedmiotów swojskich, a w końcu, po dłuższym pobycie w Paryżu, i poczucie języka.

P. Zapolska pisze obecnie tak dziwacznie, że kto nie zna żargonu współczesnych dekadentów paryskich, nie potrafi zdać sobie sprawy z jej metody.

Jak dekadenci paryscy, nie pomija p. Zapolska żadnej sposobności, aby nie zaznaczyć gry świateł, barw i różnych „plam". Jej ostatnie powieści są od góry do dołu popstrzone szczególnego rodzaju zwrotami. Oto próbki tych kwiatów stylowych:

„Kilka drzew sterczało wśród wlokącej się jasności jesiennej". — „Cała postać dziewczyny była niezmiernie suggestywna". — „Czaiła się po błotach, pełzając ku głuszcom, o różanych promieniach, uczepionym na zrudziałym pniu drzewa". — „Miała zestarzałe wygjęcie rysów". — „Wziął ze stołu kapelusz o rudych, połamanych blaskach". — „Oczy jego dręczyły ją potwornym, porywającym chłodem". — „Ruchy ich miały bezczelną niedbałość". — „Łóżko jej szarzało grzbietem nagiego siennika". — „Wrzucony w centr arystokracji". — „Podszewka palta, które mu spadło z ramion, zielonawa, jedwabiem szkląca, służyła jasnej głowie za tło chorobliwe i delikatne". — „I znikł w cieniu, zostawiając po sobie wspomnienie czegoś brutalnego, a zarazem pełnego nerwowego, niemal kobiecego wdzięku". — „I to wypełniało mu pół dnia niekłamaną, chociaż skoncentrowaną dumą i zadowoleniem". — „Przyciskali do bioder szapoklaki i czynili efekta torsu". — „Przywitał Jankę suchem kiwnięciem głowy". — „Jej dziewczęca swobodą lubowała się w spazmatycznych podrygach bezmyślnego tańca". — „Na naukę tych dziewcząt dzwoniła pusta i hałaśliwa grzechotka". — „Aksamit szczęścia spowijał ją dokoła". — „Kilka butelek, melancholijnie rozrzuconych, sterczało na śnieżnej bieli obrusa". — „Pustka, brak łączności, egoistyczny chłód, tłoczyły się naokoło tego stołu, na którym ręka lokaja rozesłała nierówną powódź siana". — „Po obu stronach drogi, ciętej rudemi linjami szyn". — „Deszcz kamieni o asfalt tłukący jednostajną i mistyczną piosenkę". — „Powierzchnia potwornego zbożowego pola". — „Po za tym blond — obrusem i światła". — „Wszystko kłębiło się w plamach niewyraźnych". — „Wązka i tajemnicza gardziel głodnego zwierza". — „Blond powierzchnia asfaltu". — „Po za nią stał Kuniewicz, cały różowy od blasku jedwabiu, złoty od jasności swych włosów, błękitny od tła kotar". — „Jance zdawało się, iż jest otoczoną jakąś mistyczną masą złotowłosych ludzi, z których każdy sercem jej wstrząsa i mózg wyżera do głębi". — „Janka miała poddanie się miłosnej męczarni, ku tryumfalnemu akordowi zdążającej" i t. d.

Bywają umysłowości, którym się zdaje, że pięknie wyraża się tylko ten, kto dobiera słów i zwrotów niezwykłych, nadzwyczajnych. Mają one wstręt do prostoty, zdrowej logiki i jasności. Lubują się w szumie dziwacznych dźwięków, w sztucznych obrazach i przenośniach.

Do umysłowości tych należy od pewnego czasu p. Zapolska, która zatraciła w Paryżu, z wielką szkodą dla swojego talentu, zmysł dobrego stylu, chociaż pisała pierwotnie dość czysto i dobrze. Tę zmianę niekorzystną zawdzięcza autorka „Małaszki" wpływom najnowszej literatury francuskiej. Od tak zwanych impresjonistów wzięła różne „plamy" i niepotrzebną wrażliwość na grę świateł i barw, od symbolistów dziwactwo obrazowania.

Gdy p. Zapolska mówi: „Janka miała poddanie się miłosnej męczarni, ku tryumfalnemu akordowi zdążającej" — może się komuś ten frazes wyda bardzo błyskotliwym i głębokim. Ale cóż to takiego — „męczarnia miłości, zdążająca ku tryumfalnemu akordowi"? Zestawienie to wielkich słów, które w istocie nic nie oznaczają. Cóż to takiego „chłód potworny a porywający"? Albo „kapelusz o blaskach połamanych" — albo: „czynili efekta torstu" — „powierzchnia potwornego zbożowego pola" — „tajemnicza gardziel głodnego zwierza" — „blond powierzchnia asfaltu" i t. d.? Obrazy te przypominają język obłąkanych.

Pani Zapolska ubiega się albo świadomie o „kwiaty" nadzwyczajne, lub też rzuca na papier bez świadomości, bez krytyki wszystko, co jej w danej chwili przez myśl przejdzie. Zdaje się, że drugi domysł jest prawdziwszy. Bo i w treści tej utworów dostrzegamy chaos, świadczący o tem, ze nasza „naturalistka" nie panuje nad tematem i nie zdaje sobie sprawy z elementarnych zasad twórczości artystycznej.

Wiadomo że p. Zapolska zdobyła sobie pierwszy rozgłos powieściami naturalistycznemi, do których wzięła receptę z „reformy" Emilia Zoli. Jej „Małaszka", „Kaśka Karjatyda" i inne wytrzymują porównanie z najjaskrawszemi płodami zwyrodniałej muzy paryskiej. Brutalne, grzebiące się z rozkoszą w brudach fizjologicznych ciała ludzkiego, bezwzględne w pomyśle i języku, nie znalazły w naszej literaturze naśladowców. Zdrowy sąd naszego społeczeństwa nie poparł kierunku, który wyrósł na rozkładającem się ciele cywilizacji francuskiej. Nie jesteśmy jeszcze do tego stopnia „smakoszami", żebyśmy potrzebowali asafetydy do podrażnienia stępionego podniebienia.

(Dok. nast.)

ŁOWIECTWO.

Polowanie na zające.

Racjonalna hodowla szaraka wymaga więcej zachodu niż kosztów. Szkody, jakie zając robi, czy to w polu, czy w lesie, są bardzo małe; nie należy bowiem brać na serjo skarg włościan podmiejskich na szaraki, które wrzekomo wyrządzają straszne szkody w sadach warzywnych, osobliwie zaś w kapuście. Zając lubi istotnie liście kapusty, lecz na szczęście, objada tylko zewnętrzne, które i tak odrzucane bywają; minimalną więc szkodę, jaką włościanie ponosić mogą, pokrywają sobie sowicie czynszem dzierżawnym, z którego gromada przecież korzysta. Z drugiej znów strony koszt karmienia zajęcy podczas większych śniegów jest stosunkowo nieznaczny, gdyż u nas, z wyjątkiem nielicznych zim, wielkie śniegi długo nie trwają. Główną zaś uwagę właściciele ziemscy zwracać powinni na tępienie lisów, jastrzębi oraz psów i kotów włóczęgów, na ściganie kłusowników a także na prawidłowe polowanie.

Tępienie lisów i innych szkodników jest czysto kwestją strzałowego; obiecując dobrą nagrodę za każdego zabitego jastrzębia, lisa, czy psa, pewni być możemy, że gajowy, czy polowy będzie się starał je tępić. Lisy należy tępić, kopiąc młode na wiosnę lub trując zimą; jastrzębie strzelać przy puhaczu lub ło-

wić w żelaza. Dawać też winniśmy sute nagrody za przytrzymanie każdego kłusownika, osobliwie t. zw. wnykarza, gdyż zwierzyna nie ma większego nieprzyjaciela nad tego ostatniego. Zwykły kłusownik, polujący ze strzelbą, zdradza się zawsze swemi strzałami, które budzą czujność straży miejscowej; gdy wnykarz cicho, bez hałasu, wyrządza nam stokroć więcej szkody; trzeba nań polować, z zasadzki przy znalezionym wnyku i chwytać, gdy na obchód ranny przychodzi. Za takiego ptaszka płacić należy straży dwa razy większą nagrodę, niż za schwytanie zwykłego kłusownika.

Wszelkie jednak starania nasze około rozmnożenia zwierzyny będą bezowocne, jeżeli nie wprowadzimy u siebie systematycznego polowania. Nadewszystko winniśmy stale mieć na uwadze, że nie ma szkodliwszego dla zwierzostanu polowania, niż z gończemi lub chartami. Niewątpliwie, że wielu z panów myśliwych starej daty uważa te dwa rodzaje polowania za daleko wyższe od nowoczesnych polowań z naganką i trudno się z nimi nie zgodzić. Lecz raz na zawsze powinniśmy się przekonać, że przy postępie cywilizacji, oba te rodzaje polowania muszą stanowczo ustąpić. Dzisiaj gończych już prawie nikt nie trzyma, tak dalece, że zaginęła nawet doskonała rasa gończych polskich i dziś z wyjątkiem Litwy, nie można się spotkać nigdzie z temi psami czystej krwi, a te osobniki, które się tu i owdzie spotyka jeszcze po kraju, są to pokurcze albo z wyżłami albo z kundlami. Co do nas osobiście, żałujemy, że fatalny postęp cywilizacji doprowadził nas do zatracenia jednej z najlepszych ras psów gończych; lecz mimowoli zgodzić się z tem musimy, skoro inaczej być nie może. Polowania z chartami istnieją jeszcze na Podolu, lecz i ten rodzaj znacznie niżej według nas stojący, od polowań z gończemi — wychodzi powoli z użycia i niewątpliwie za lat kilkanaście lub kilkadziesiąt tylko tradycja po nim zostanie, jak po polowaniach z sokołami.

Istnieje także rodzaj polowania równie może szkodliwy, jak oba tylko co wspomniane, a mianowicie na pomyka; a szkodliwy nie tyle sam w sobie, bo zresztą jest bardzo niewinny, ile że go u nas praktykowano jeśli nie okrągły rok, to przynajmniej okrągły sezon. Potrzeba było parę zajęcy na kuchnię, posyłało się albo kucharza, albo gajowego, żeby na pomyka potrzebną zwierzynę upolował. Przyjechał ktoś z sąsiadów, albo z miasta: szedł na pomyka. A cóż dopiero mówić o synach właściciela, którzy przyjechawszy na wakacje, dzień po dniu trapili biedne zające. Trudno też było dochodować się zwierzyny przy takiej gospodarce.

W interesie zwierzostanu leży, aby na zwierzynę polować, nawet co rok polować (z wyjątkiem chyba lat bardzo ciężkich), lecz pamiętać zawsze winniśmy, że zwierzyna nie znosi ciągłego niepokojenia i dlatego należy przyjąć za bezwzględną regułę w polowaniach zajęczych: nie polować nigdy dwa razy w ciągu sezonu na tem samem terytorjum. Gdzie tylko w kraju prawidło to przyjęto, doczekano się świetnych rezultatów, o czem świadczą kroniki myśliwskie lat ubiegłych.

Drugą bardzo ważną regułą przy polowaniach z naganką na zające jest, aby nigdy nie społowywać całego obszaru czy to lasu, czy pól, lecz pozostawiać rezerwy, które na rok przyszły będą służyły za rozsadniki zwierzyny. Przy dzisiejszym systemie polowania z bardzo gęstemi nagankami i szczelnie obstawionemi skrzydłami, łatwo wybić co do nogi wszystkie prawie zające, osobliwie jeśli jest dobór doskonałych strzelców, gdyż wtedy zające, choćby chybione pozornie, są w rzeczywistości mniej lub więcej pokaleczone i albo zdychają, albo są niezdatne do rozpłodu.

SPORT.

* Pierwsze wiedeńskie wyścigi wiosenne odbyły się na Freudenau w poniedziałek świąteczny. Możnaby je wybornie nazwać zimowemi, gdyż na placu panowało powietrze listopadowe. Śnieg padał gęstemi płatkami, wiatr przeraźliwy huczał, a sportsmeni i dżokeje, otuleni w futra, przedstawiali istny obraz nieszczęścia. Loże i trybuny świeciły pustkami i tylko miejsca guldenowe były szczelnie obsadzone. Biegów tylko sześć. Z nich najważniejszym „Przedświt-Handicap“. o nagrodę 10.000 koron. Do startu stanęło 11 koni. Faworytem był ogier „Demetrius“, należący do pana Wahrmanna. „Ahnos“ hrabiego Bathyanyego i „Bencsur“ Roberta Lebaudy'ego miały także licznych zwolenników. Rumaki przyszły do mety w tym samym porządku. Konie: „Minister“ i „Buro-Lyanga“ wysunęły się naprzód, lecz wkrótce „Demetrius“ wziął nad nimi górę i nie dał się już wyprzedzić. Totalizator płacił za 5 złr. 12, a za miejsce 35, 107 i 48.

Drugie wyścigi odbyły się we czwartek. Pogoda więcej sprzyjała, jakkolwiek chłód przenikliwy wszystkim dokuczał. Osób zgromadziła się szczupła liczba. Najwyższa nagroda wynosiła 4.000 koron. Stajnia Drehera prawie zawsze jest bita. W tym dniu zrobiła jednak niespodziankę, gdyż dwa konie: „Gogerl“ i „Ruab'n“ przyszły pierwsze do mety. Zwycięztwo „Gogerla“ było przewidywane, ale o drugim nikt nie chciał wiedzieć. Totalizator jednakowoż płacił tylko za 5 złr. 70. Dowodzi to, że publiczność mało grała.

* Wyścigi kłusaków odbyły się w Wiedniu w pierwsze święto Wielkanocy. Najwyższa nagroda wynosiła 2200 koron. Koń „Navary“, należący do pani Burnez i pana Scheifengaier, był bohaterem dnia. Nikt go przedtem nie znał, a jednak wykazał się jednym z najlepszych kłusaków austrjackich, Przestrzeń 2200 metrów, przebył w 4 m. 14 s. Totalizator płacił za 5—178, a za miejsce 124, 57 i 257 złr.

* Dżokej Allsopps miał szczęśliwy dzień w Birmingham. Dosiadał 7 razy i 4 razy był pierwszym, a 3 razy drugim. Właściciele koni obdarzyli go prezentem 1000 funtów szterlingów i kosztownym zegarkiem wysadzanym brylantami.

* Czwarty dzień wiedeńskich wyścigów wiosennych, zgromadzi do startu tylko 8 koni, o najważniejszą nagrodę, nazwaną „wiosenną“. Między innemi stanie „Demetrius“, zwycięzca pierwszego dnia. Drugim faworytem jest „Paratlan“.

* Dwaj Niemcy: Köchen i Rechzeb, wybrali się na bicyklach z Berlina do Madrytu i szczęśliwie przybyli do stolicy iberyjskiej w dniu 29 marca. Odpoczęli dwa dni i 31 marca wyruszyli z powrotem. W Pirenejach napotkała ich burza śniegowa. Gdyby nie pomoc nadjeżdżających furmanów hiszpańskich, obydwaj podróżnicy byliby wycieczkę przypłacili życiem.

* Księżniczka Maud, córka księcia Walji, zapalona cyklistka, wybrała się na rowerze, w odwidziny do swojej starej służącej. Na londyńskiej Regent-street, żelazny rumak się wywrócił i księżniczka upadła na ziemię. Nadbiegł konstabl, wsadził ją do powozu i odwiózł z powrotem do pałacu. Zdrowiu jej nie zagraża żadne niebezpieczeństwo.

* W Sandown Park w Anglji, sprzedano konia „Count Schomberg“ za 78,750 franków. Właściciel jego pułkownik Lloyd, zmarł przed dwoma miesiącami i stajnię uważaną za pierwszorzędną w Wielkiej Brytanji, rozsprzedali sukcesorowie.

* Dawny dżokej Wiljam Noble, który rozpoczął swój zawód w 1839 r., żyje jeszcze dotąd wraz ze swoją staruszką małżonką. Na całe utrzymanie posiada 375 franków rocznej pensji, które mu wypłaca klub Bentin N. Fund.

× „Perle d'Or“, własność hr. Tasillo Festeticza, w tych dniach będzie przetransportowana do Anglji. Weźmie udział w wyścigach epsomskich i New-Market. Jakkolwiek zalicza się do świetnych koni, ale niefortunne awantury „Tokia“ powinny raz na zawsze odstręczyć austrjackich sportsmenów od szukania sławy i złota gdzieś za morzami. „Perle d'Or“ rozpocznie debiuty już na początku kwietnia.

KRONIKA.

Kraków 12 kwietnia.

Kalendarz kościelny. Dziś, Niedziela Przewodnia, Juljusza, papieża, jutro Justyna, męczennika i Idy panny, pojutrze Walerjana i Maksyma, męczenników.

Jutro w kościele św. Florjana na Kleparzu doroczne uroczyste nabożeństwo z wystawieniem Najśw. Sakramentu, kazaniami i suplikacjami, na pamiątkę cudownego ugaszenia pożaru w r. 1306 i 1528 w Krakowie.

Kalendarz myśliwski. W miesiącu kwietniu wolno polować na słomki, cietrzewie i głuszce, dropie i pardwy, oraz na ptactwo błotne i wodne w ogólności.

Ochraniać należy: jelenie, kozły (rogacze), łanie, cielęta, i szpiczaki, zające, lisy, borsuki, jarząbki, bażanty, kuropatwy, przepiórki, i dzikie gołębie.

Kalendnrz rybacki. W kwietniu wolno łowić wszelkie ryby, jak: brzanki, brzany i cyrty; leszcze, łososie, pstrągi, węgorze, czeczngi, klonki, jazie i szczupaki i raka samca.

Ochraniać należy: bolenie, lipienie, wyrozuby, czopy, sandacze, świnki, i głowacice, jak i raka samicę.

Kalendarz astronomiczny. Wschód słońca rozpoczął się dziś o godzinie 4 minut 52, zachód przypada o godzinie 6 minut 28, długość dnia godzin 13 minut 36.

Zmiana lunacji. Nów księżyca przypada jutro dnia 13 bm. o godz. 5 minut 22 rano.

Kupujcie tylko u chrześcijan!

Składki. Zamiast wieńca na trumnę ś. p. dyrektora Andrzeja Nizioła, przeznaczył wydział Koła krakowskiego nauczycieli szkół wyższych 10 złr. na fundację im. Adama Mickiewicza.

Dla cyklistów. Dyrekcja policji w porozumieniu z Magistratem wydała świeżo drukiem regulamin, obowiązujący kolarzy. Główniejsze paragrafu brzmią, jak następuje: §. 1) Jeżeżenie na kole po ulicach i placach publicznych w Krakowie dozwolonem jest tylko osobom, posiadającym legitymację, wydaną przez Dyrekcję policji. Na każdem kole należy przytwierdzić u głowy maszyny na metalowej tabliczce łatwo widoczny i wyraźny porządkowy numer legitymacji, bez którego bezwarunkowo w obrębie miasta Krakowa jeździć nie wolno.

§. 4) Legitymacje wydawane będą na przeciąg lat trzech, licząc od 1 stycznia tego roku, w którym wystawione zostały. Pozwolenia do jazdy osobom, które ukończyły 14 rok życia, a 18 roku nie przekroczyły, wydawać się będzie jedynie za zgodą ojca, lub opiekuna. Oprócz opłaty stemplowej na legitymacje w kwocie 1 złr. co trzy lata, będzie właściciel legitymacji uiszczać rocznie kwotę jeden złr. a. w. na fundusz miejscowych ubogich. Zwolnionymi od opłaty na fundusz ubogich miejscowych, jakoteż uzyskania legitymacji, są wojskowi w uniformach, mogą też być zwolnione od opłaty na powyższy fundusz za poprzedniem wniesieniem prośby, osoby używające koła w celach służby publicznej, lub w wykonywaniu swego zawodu.

§. 7. W obrębie m. Krakowa, tudzież na błoniach miejskich wolno jeździć na kole tylko drogą przeznaczoną dla ruchu wozów. Nie wolno zaś jeździć po chodnikach, plantacjach miejskich, ogrodach publicznych, ścieżką nad Rudawą, jakoteż w mieście ulicami wąskiemi i licznie uczęszczanemi. Po chodnikach maszyny prowadzić nie wolno.

§. 8. W obrębie miasta wolno jeździć tylko z mierną szybkością, szczególniej zaś na skrętach, krzyżowaniach ulic i przechodach należy znacznie jazdę zwolnić. Jako sygnał ostrzegający służyć ma cykliście dzwonek, w który każdą maszynę zaopatrzyć należy, wszelkie inne rodzaje sygnałów jak trąbki, gwizdki, są niedozwolone.

§ 10. Po ulicach w mieście dwom lub więcej cyklistom nie wolno jechać w jednej linji obok siebie, lecz jednemu za drugim w odpowiedniej odległości.

Zegarek złoty damski o dwóch kopertach, emaljowany, z łańcuszkiem i breloczkiem włącznej wartości około 75 złr. rzekomo znaleziony w miesiącu październiku lub grudniu w ulicy Lubicz lub Niecałej złożono temi dniami do sądu krajowego karnego.

120 ryb skonfiskował w ostatni piątek komisarz targowy handlarzom przy moście podgórskim. Ryby zostały skonfiskowane na polecenie i wobec komisarza rybactwa krajowego dra Fiszera, jako zaliczające się do tych gatunków, na który rozciąga się czas ochrony.

Sprawozdanie poselskie byłego członka Koła polskiego, p. Lewakowskiego, przed wyborcami we Lwowie, które miało się odbyć dzisiaj, odroczone zostało do wtorku.

Głodomor Succi mieszka w Wiedniu nie jak doniosły niektóre polskie dzienniki w hotelu Ronachera, lecz w Hotel Royal przy ulicy Sienger-Strasse, w pobliżu kościoła św. Stefana. Odwidza go mnóstwo osób płci obojej, rzucając co łaska na tacę za oględziny. Jeden z arcyksiążąt złożył 500 złr.; członkowie dworu i rządu, arystokracja i bankierzy sypią po sto, po kilkadziesiąt lub kilkanaście banknotów; zwykli śmiertelnicy po guldenie lub nawet po koronie za osobę. Dość, że dochody głodomora — podobno poddzierżawione przez jakiegoś wiedeńskiego impresaria — są znaczne. Większość przybywającej publiczności porozumieć się z Succim nie może, mówi on bowiem płynnie i dobrze tylko po włosku, a bardzo słabo po francusku i angielsku. Niemieckiego języka nie posiada wcale. Zajmuje numer tuż przy restauracyjnej sali jadalnej, co — jak twierdzą znawcy — przyczynia się wielce do łatwiejszego znoszenia postu. Podstęp jakikolwiek ze strony zamarzającego się jest zupełnie wykluczony, nadzór bowiem dniem i nocą jest niezwykle ścisły, a analiza odchodów, dokonywana co wieczór, łatwoby chęć oszukania dozorców wykazała. Succi wierzy lub udaje wierzącego w przeznaczoną mu misję cywilizacyjno-naukową. W obejściu i zachowaniu wydaje się dość sympatycznym, a przynajmniej wcale interesującym jako osobnik psychologiczny. Grono jego admiratorów, o jakich w wielkiem i ożywionem mieście nie trudno, utworzyło już w hotelu, przez niego zamieszkałym, „klub Succiego“, poświęcony postno-głodowym badaniom. Na uczcie inaugurującej zawiązanie się stowarzyszenia, był Succi *en personne* i półgodzinną mowę, quasi mistyczną, wygłosił.

Licytacja osobliwości odbyła się niedawno w Rouen, gdzie sprzedano spuściznę po pani Lebesnier, wnuczce Cléryego, kamerdynera Ludwika XVI. Niektóre przedmioty osiągnęły dość wysokie ceny. Koszula batystowa Ludwika XVI-go, którą miał na sobie w dniu 20 stycznia 1793 r., nabyta została za 2.860 fr. przez przedstawiciela jednej z książęcych rodzin austrjackich. Suknia ślubna Madame Royale, księżnej d'Angoulême — 610 franków. Włosy Henryka V-go (hr. Chamborda), obcięte w r. 1830, kupił za 310 fr. przedstawiciel rodziny Naundorf, jak również ubranie z sukna brunatnego koloru, które Ludwik XVII, jako Delfin, nosił do kościoła, za 1.025 fr. i pukiel jego włosów za 500 fr. Serwetka, którą Ludwik XVI trzymał przed sobą podczas komunji św. rankiem w dzień egzekucji, za 1.950 fr. Portret Cleryego z roku 1798 z Londynu, za 1.400 fr. Ornament i zamek z kluczem wykuty przez Ludwika XVI — 520 fr. Nóż, którym się posługiwała w więzieniu Marja Antonina, 1.875 fr., wreszcie włosy nieszczęsnej królowej za 910 fr.

Papierowa armata Nowy wynalazek w dziedzinie sztuki wojennej odkrył, jak o tem donoszą *Münchener Neueste Nachrichten*, pewien inżynier, zatrudniony w fabryce broni Kruppa w Essen. Skonstruował on małą armatę z masy papierowej, którą każdy żołnierz od piechoty może wygodnie umieścić na tornistrze. Masa papierowa, z której składa się armata ręczna, posiada więcej siły odpornej, niż stal, a pewność strzału na stosunkowo wielką odległość

ma być zdumiewającą. Armata ta ma 5 centymetrów średnicy. W czasie wojny, gdy artylerja z powodu niedogodności terenu nie mogłaby skutecznie być użytą, armata ręczna może oddać wielkie korzyści. Wynalazca wystarał się już o patent, a bataljony szkolne w Prusach mają być, według wspomnianego dziennika, zaopatrzone w nowy wynalazek. Jeżeli wiadomość ta zgadza się z prawdą, spodziewać się można wielkiego przewrotu w organizacji armji.

Medale honorowe. W rzędzie osób, odznaczonych świeżo przez francuskiego ministra wojny medalami honorowemi, znajdują się dwie kobiety: Siostra Zenaida, przełożona misji Sióstr św. Józefa de Cluny w Madagaskarze, która podczas ostatniej kampanji składała dowody niezrównanego poświęcenia w szpitalu w Majunga. Siostra Zenaida liczy już 15 lat służby w Madagaskarze. Odznaczoną została nadto miss Krystyna Byam, przełożona od lat trzynastu szpitala w Soavinandriana, która doglądała niezmordowanie rannych w owym szpitalu, będącym filją Tananarywskiego.

„Towarzysze św. Jana“. *Times* podaje ciekawą bardzo i zdumiewającą wiadomość o istnieniu od lat dziesięciu w Cambridge tajnego stowarzyszenia pod nazwą „Towarzyszów św. Jana“. Członkami są przeważnie studenci; oddziały istnieją w Oxfordzie, Birmingham, Londynie i t. d. Przywódcą i założycielem jest jeden z profesorów Pembroke College z Cambridge, czcigodny Ernest John-Heriz-Smith. Dewiza stowarzyszonych streszcza się w inicjałach L—D, oznaczających pierwsze litery słów *Love* i *Duty* (Miłość i Obowiązek). Celem „towarzyszów“ jest szerzenie zasad t. zw. *High Church*,, to jest kościoła anglikańskiego ultrarytualistycznego, skłaniającego się ku katolicyzmowi.

Pałac papieski w Avignon. Sześciu deputowanych, a w ich rzędzie pp. Pourquery de Boisserin i Naquet, przedstawiło Izbie francuskiej projekt, domagający się odrestaurowania pałacu papieżów w Avignon, powołując się na ważność tego zabytku pod względem historycznym i artystycznym. Ztąd siedmiu papieżów francuskich przez lat 70 rządziło światem. Wspomnienia historji chrześcijaństwa, Francji, monarchji, rewolucji czynią z tej fortecy średniowiecznej jedną z najciekawszych i najcenniejszych pamiątek dziejowych. Izba, wysłuchawszy tych motywów, odesłała projekt do specjalnej komisji.

Podatek matrymonjalny. Amerykanie ubolewają nie od dzisiaj, że najbogatsze ich dziedziczki posagami swemi obdarzają europejskich arystokratów i że kapitały z kraju wychodzą, czyniąc mu tem uszczerbek. Oddawna już przemyśliwano o rozmaitych formach podatku. Najnowszym jest bill, przedstawiony Izbie prawodawczej Stanu New-York; domaga się on obłożenia 2 procentami podatku posagów amerykanek, oddających rączki swe i wiano obcokrajowcom. Pieniądze, płynące do kasy państwa z tego źródła, mają być użyte na zakładanie szkół rękodzielniczych dla dziewcząt i przytułków dla starych oraz występnych kobiet. Obliczają, że ów podatek przyniesie stanowi New-York blisko 10 miljonów dolarów.

Bankructwo Uniwersytetu. Z Ameryki nadchodzi wiadomość o bankructwie Uniwersytetu, spowodowanem krachem kolejowym. Uniwersytet Jana Hopkins'a w Baltimore zawdzięcza powstanie swoje legatowi miejscowego kupca, od którego imienia został też nazwany, a który zapisał na ten cel 3,500,000 dolarów. Pomiędzy spuścizną po p. Hopkins'ie znajdowały się liczne akcje kolei Baltimore i Ohio, która wówczas należała do najzyskowniejszych podobnych przedsiębiorstw w Stanach Zjednoczonych. Kuratorowie Uniwersytetu chętnie tedy przyjęli zapis w tych akcjach. Stało się wszakże, iż od śmierci dyrektora, Jana W. Gerrett'a, stan interesów tej kolei pogorszył się znacznie, do czego przyczyniła się głównie konkurencja innych zbudowanych przez ten czas linij kolejowych, a zwłaszcza kolei Pensylwanja. Dochody Uniwersytetu uszczuplały się tedy w miarę zmniejszania się dywidendy kolei Baltimore i Ohjo, która wreszcie w ostatnich dniach zupełnie zbankrutowała tak, że ogłoszono jej upadłość. Ponieważ na razie nie ma widoków, aby interesy kolei się poprawiły, Uniwersytet Hopkins'a będzie musiał zamknąć swoje podwoje; brak jest bowiem środków na jego utrzymanie, a profesorowie wkrótce już narażeni będą na to, że nie otrzymają swych pensyj. Uniwersytet Hopkins'a uważany był za pierwszą wszechnicę w Stanach Zjednoczonych.

Dar woźnicy. Dzienniki odeskie donoszą, że konsulat japoński w Odesie otrzymał niedawno z Tokio od Japończyka Kitagaicy piękny przybór do palenia, adresowany do Petersburga. Japończyk Kitagaica odznaczył się w r. 1891, kiedy dokonany został zamach w Otsu na życie ówczesnego cesarzewicza następcy tronu Mikołaja Aleksandrowicza. Kitagaicy powoził ekwipażem, którym wówczas jeździł cesarski podróżnik i w chwili zamachu uderzył kilkakrotnie sprawcę Kitagaicy otrzymał wówczas hojną nagrodę. Pudełko z przyborami do palenia przywiózł z Odesy parowiec „Kostroma“ z Odesy wysłano je z zachowaniem środków ostrożności do Petersburga.

Śniadanie u królówej. Królowa angielska wydała w drugi dzień świąt wielkie śniadanie w Cimiez. Stół ubrany był pięknie w snopy róż i białych bzów. Zaproszeni byli: król belgijski Leopold z córką księżniczką Klementyną; księżna Chrystjanowa Szlezwicko-holsztyńska; ks. Franciszek-Józef Battenberski i ks. Wiktor Szlezwicko-holsztyński.

Pieczeń ze słonia. Z powodu niebezpiecznej złośliwości musiano w ogrodzie zoologicznym w Frankfurcie n. M. zastrzelić słonia, zwanego Albert. Do spełnienia wyroku śmierci użyto karabinu piechoty model 88. Pierwszy strzał, wymierzony na trzy kroki odległości, pozostał bez najmniejszego skutku. Dopiero po półgodzinnem czekaniu słoń zajął dogodną postawę, tak że za drugim strzałem strzelec trafił go w samo ciemię; słoń upadł, jakby rażony piorunem i skonał na miejscu. Strzelcem był znany podróżnik po Afryce i handlarz dzikich zwierząt, Józef Menges, który wiele już upolował słoni. Wieczorem odbył się w zoologicznym ogrodzie objad, którego dania składały się z najlepszych części mięsnych tej niebywałej na stole europejskim dziczyzny. Chciano przekonać się, czy mięso słonia może przynieść kulinarne korzyści, ale biesiadnicy nie przyznali się, że im słoniowa polędwica smakowała.

W Hindustanie, na wybrzeżu Malabaru, znajduje się pewna ilość katolików, tubylców, którzy zapewnie niegdyś przywędrowali tam z Chaldei i zachowali rzeczywiście liturgję chaldejską, choć z niektóremi zmianami. Jest ich 250.000. Ci katolicy chaldejscy zwrócili się teraz do Stolicy Apostolskiej z prośbą, aby ich wyjąć z pod jurysdykcji duchownej wikarjuszów apostolskich, łacińskich i nadać im własnych biskupów. Papież zapewne przychyli się do ich prośby z zachowaniem obrządku. Patrjarcha katolicki Chaldei zgłosił się jednocześnie do Watykanu, wyjaśniając swoje prawa do owej gminy, zwłaszcza, że w Chaldei ma tylko 50.000 wiernych. Rozstrzygać będzie propaganda.

Składki. P. J. Łopatyński, nauczyciel w Ulanowie, nadesłał 4 złr. z następującym dopiskiem; „Na święconem u p. J. Dąbrowskiego, burmistrza ulanowskiego, urządzili zebrani goście składkę na Wawel. Otrzymaną kwotę 4 złr. przysełam. Również zebrano 10 złr. na nowo mający się sprawić ornat w naszym kościele. Kwotę powyższą oddano do rąk W. ks. M. Podgórskiego w Ulanowie“.

Delegat p. Laskowski, dnia 10 b. m. wieczorem wyjechał do Lwowa.

Piśmienne egzaminy dojrzałości rozpoczną się we wszystkich szkołach galicyjskich dnia 11 maja br. Ustne egzaminy dojrzałości rozpoczną się: a) w gimnazjach: 1) w Bochni dnia 13 czerwca, 2) w Brodach dnia 10 lipca, 3) w Brzeżanach dnia 12 czerwca, 4) w Chyrowie dnia 22 czerwca, 5) w Drohobyczu dnia 25 czerwca, 6) w Jarosławiu 26 maja, 7) w Jaśle dnia 15 czerwca, 8) w Kołomyi dnia 5 lipca, 9) św. Anny w Krakowie dnia 26 maja, 10) św. Jacka w Krakowie dnia 1 czerwca, 11) III. w Krakowie dnia 26 maja, 12) akademickiem we Lwowie 17 czerwca, 13) II we Lwowie 8 czerwca. 14) Franciszka Józefa we Lwowie dnia 8 czerwca, 15) IV. we Lwowie dnia 5 czerwca, 16) w Nowym Sączu dnia 18 czerwca, 17) I. (polskiem) w Przemyślu dnia 28 maja, 18) II. (ruskiem) w Przewyślu dnia 5 czerwca, 19) w Rzeszowie dnia 26 maja, 20) w Samborze dnia 1 lipca, 21) w Sanoku dnia 2 lipca, 22) w Stanisławowie dnia 27 czerwca, 23) w Stryju dnia 20 czerwca, 24) w Tarnopolu dnia 22 czerwca, 25) w Tarnowie dnia 8 czerwca, 26) w Wadowicach dnia 8 czerwca, 27) w Złoczowie 12 lipca.

B) w szkołach realnych: 28) w Krakowie dnia 18 czerwca, 29) we Lwowie dnia 8 czerwca, 30) w Staniławowie dnia 30 czerwca.

Wieczór „Lutni“ zapowiedziany na środę d. 15 b. m. w sali hotelu Saskiego, z udziałem pań J. Kopffównej, H. Strzeleckiej, panów: prof. Bylickiego, Lewingera, Sandoza, oraz chóru męskiego „Lutni“ pod kierunkiem dyrektora p. Adolfa Steibelta, zawiera następujący program: 1) Saint-Saens: Trio F-dur na skrzypce, wiolonczelę i fortepjan (prof Bylicki, pp. Lewinger i Sandoz); 2) Thomas: Romans z op. „Mignon“ (odśpiewa p. H. Strzelecka, akompanjator prof. Bylicki); 3a) Wagner: „Czar nocy“ (waltornia solo); *b*) Pieśń ludowa szwedzka, ułożył na chór A. Steibelt; *c*) Jarecki: Pieśń o ziemi naszej (chór „Lutni“, w którym występuje podwójny kwartet solo). 4a) Paderewski: „Chant du voyageur“; *b*) Rubinstein: Walc (odegra na fortepjanie panna J. Kopffówna. 5) Mascagni: „La tua Stella“ (odśpiewa p. H. Strzelecka. 6) Liszt: Rapsodja nr. 3 (odegra p. J. Kopffówna). 7a) Schubert; „Dobranoc“, *b*) Maszyński: „Polonez“ (chór a capella). Początek o godzinie wpół do 8 wieczorem.

Ława przysięgłych w dalszym ciągu zajmie się rozstrzygnięciem następujących spraw: Dnia 27 bm. staje Gomułka Teofil i Sp. oskarżeni o zbrodnię z § 125, dnia 29 bm. Brandowski Stanisław i Sp. występek z § 516, dnia 30 Ropa Jędrzej o sprzeniewierzenie, dnia 1 maja Szmulański Antoni o oszustwo, dnia 2 maja Jasek Jan o ciężkie uszkodzenie ciała, dnia 4 maja Jakobik Piotr, o gwałt publiczny i § 125, dnia 5 maja Perówna Julja o dzieciobójstwo, dnia 6 maja Ochmański Jan o występek z par. 487 i 491, dnia 7 maja Kędzierski Józef § 125 i dnia 9 maja Schindler Jan o kradzież.

Rada miejska odbędzie zwyczajne swe posiedzenie we czwartek 16 b. m. o godz. 5 po południu.

Święcone. Dziś o godzinie 7-mej wieczorem odbędzie się wspólne święcone Tow. gimn. „Sokół“ — we własnym gmachu przy ulicy Wolskiej — z listy zapisanych wnosić można, że liczba uczestniczących członków wraz z paniami będzie większą, niż lat poprzednich. — Gospodarze nie szczędzą też trudu, aby tradycjonalna uroczystość wypadła dobrze. Biletów nabyć można przy wstępie na salę.

Bezpłatna wypożyczalnia. Dnia 12 kwietnia b. r. o godzinie 3 popołudniu otwartą zostanie trzecia bezpłatna wypożyczalnia książek Towarzystwa Szkoły ludowej. — Wypożyczalnia mieścić się będzie w lokalu szkoły miejskiej w Podgórzu.

Konkurs. Otrzymujemy z Magistratu krakowskiego następujące pismo: Procent w kwocie 800 złr. od fundacji ś. p. ks. Schindlera dla podupadłych rzemieślników, zostanie w maju b. r. rozdzielony pomiędzy rękodzielników, w mieście Krakowie stale przemysł swój prowadzących, w ten sposób, że każda zapomoga wynosić będzie najmniej 100 złr., a najwięcej 200 złr. Ubiegający się o uzyskanie tej zapomogi, winni w podaniach swych wykazać: 1) że od dłuższego czasu, a przynajmniej od roku rzemiosło w Krakowie prowadzą; 2) że odznaczają się moralnością, nienagannem życiem i że zapomogi potrzebują do rozszerzenia warstatu lub do polepszenia stosunków materjalnych, spowodowanych niepowodzeniem. Ubiegający się o tę zapomogę powinni zatem dołączyć do podań swych kartę przemysłową, świadectwo moralności i ubóstwa. Podania tak udokumentowane mają petenci złożyć na ręce starszego Stowarzyszenia, najdalej do dnia 1 maja b. r., który je swą opinią zaopatrzy, a następnie złoży do rąk naczelnika wydziału III-go Magistratu.

Wypadek. W dniu 10 b. m. około godziny 2-ej popołudniu, ulicą Szlak ku Łobzowskiej, dwukonnym powozem jechał dorożkarz nr. 10. Przed mostkiem na Młynówce naprzeciw pyrotechnicznego laboratorjum p. Mądrzykowskiego spłoszyły się konie i jeden z nich z lewej strony uderzywszy o słupek, zrzucił z niego poręcz tak niefortunnie, iż belka (około 16 cm. kw.) przebiła mu brzuch z boku na wylot. Koń runął na ziemię, przedstawiając widok okropny. Z wielkim trudem wyciągnięto mordercze drzewo z biedaka i kilkoma uderzeniami młota skrócono cierpienia jego.

Panorama. Rzym, a mianowicie pałac cezarów, Kapitol, Kolloseum, Kościół św. Piotra, Watykan, mieszkanie Ojca św. i t. d. można oglądać po raz ostatni w tym tygodniu w znanej panoramie w Rynku przy linji A—B.

Konsulat we Lwowie. Według doniesienia *Nordd. Allg. Ztg* rząd niemiecki powziął zamiar utworzenia specjalnego konsulatu niemieckiego dla Galicji i Bukowiny we Lwowie, ponieważ stosunki handlowe z temi krajami, konsulat ten już od dłuższego czasu niezbędnym czynią. Kierownictwo konsulatu powierzono dotychczasowemu stałemu współpracownikowi w ministerjum spraw zagranicznych, radcy legacyjnemu baronowi Spesshardtowi, który przybył już do Lwowa. Konsul Spesshardt obejmie urzędowanie w dniu 15 b. m. i zamieszka przy ul. Cytadelnej.

Mianowanie. Minister oświaty zamianował Adolfa Wiktora Weissa rzeczywistym nauczycielem w państwowej szkole przemysłowej we Lwowie.

Strejk brukarzy we Lwowie załatwiony został w jednym dniu. Natomiast zanosi się na strejk stolarzy.

Szkoła chóru operowego. Dyrekcja teatru hr. Skarbka we Lwowie zakłada szkołę chóru operetkowego.

Z Andrychowa pisze do nas nasz korespondent „Chłop antysemita“: Ciężko bolały andrychowskie dzieci Abrahama, bo wskutek ukazania się w *Głosie Narodu* mej poprzedniej korespondencji, żaden obywatel Andrychowa nie podzielił się z nimi święconem jajkiem, jak to zeszłego roku jeszcze było. A był już potemu czas najwyższy, aby się obudziło chrześcijańskie sumienie, bo żydzi andrychowscy opanowali dusze serca i majątki andrychowianów. Gdy w „suchedniową“ środę wielkiego postu co dopiero ubiegłego, odbywało się wesele żyda Szczodrysa, *recte* Feliksa, reprezentanci andrychowskiego cechu rzeźnickiego z kilku radnymi miasta na czele, zaszczycili je gremjalnie swą obecnością, by uczcić faraona tkaczów okolicznych... Pili, tańczyli, a nikt nie miał odwagi rzec im: Dla żyda sponiewieraliście wiarę waszą, wywołaliście publiczne zgorszenie, dla żyda demoralizujecie czyste jak łza dusze młodociane swych dzieci!

Co więcej ojcowie miasta dla żyda szaleć muszą i w wielki czwartek. W dniu tym, w wigilję śmierci Boga-Człowieka, zaprosił żyd Grünspann „szmitankę intyligentnoszci andrychowskiej“ do siebie na t. zw. „spuszczanie wina“. Zaproszeni poszli ochoczo, by miasto nogi prostaczkom, obmywać swemi ustami brudne krańce szklanic żydowi, który przyszedł do Andrychowa z pejsami i w hałacie, i na ciężkiej pracy tkaczów ugruntował wkrótce wielką fortunę!

Nic też dziwnego, że pijani przyjaźnią i winem

żydów obywatele-katolicy, zaprzedawszy swe dusze, oddają żydom i swe majątki. Niedawno żydzi: Neumann, Kirschner, Tiras i 2 Ungerów kupili najpiękniejsze domy w rynku z których 2 stoją tuż obok kościoła. Żyd Biederer kupił nawet kamienicę, w której murze frontowym znajduje się obraz Matki Boskiej. Uczucia nasze religijne zostały zelżone znów dla żyda. Nawet zgromadzenie członków „Andrychowskiej kasy“, gdzie żydzi są dyrektorami, zwołano umyślnie na 12 kwietnia, na niedzielę.

Radni miasta sprzyjają żydom. Juljusz Izraeli (o nim i o pewnych małych procentach kiedyindziej) przez 17 lat zasiadał jako reprezentant gminy w Radzie szkolnej. Tego roku dopiero wystąpił przeciw niemu energicznie asesor, p. Wincenty Młodzik, ratując honor miasta. Na jego usilne przedstawienia wybrano katolika, mimo błagalnych próśb p. Juljusza. Sklepów żydowskich jest w Andrychowie 25, katolickie są tylko 3, szynków żydowskich 15, katolickie są tylko 4.

Nie chciałem poprzednio występować zbyt ostro przeciw burmistrzowi, p. Heradinie, bo jego rodzina wyświadczyła wiele dobrodziejstw miastu, a on sam jest szlachetny i żydów na nic nie potrzebuje; pożycza on biednym włościanom czasem na kilka lat nawet po kilkaset złr., zupełnie bezprocentowo — niech żydków omija, a kochać go będziemy my, chłopi okoliczni.

Wspomnę tu także o pewnym obrońcy prawnym, który niedawno prowadził egzekucję na nieruchomości chłopa Lugusa raz o 37 ct. i narobił mu kosztów przeszło 30 złr., drugi raz o 1 złr., przyczem naraził chłopa tego na koszty, wynoszące przeszło 40 złr.

Straszny pożar. Ze Szczurowej piszą do nas: Straszną klęską dotknął Pan Bóg naszą wioskę. Dnia 8 b. m. o godzinie $10^1/_2$ w nocy wybuchł pożar z niewiadomych dotąd powodów w stodole pewnego gospodarza. Z powodu blisko obok siebie stojących zabudowań i wichru wzmagającego się wskutek pożaru, nieubłagany żywioł szerzył się z taką szybkością, że w półtorej godziny zalał płomieniami przestrzeń jednego kilometra, pożerając naraz 270 zabudowań, tak mieszkalnych jak i gospodarczych. Wszelki ratunek wskutek wirujących płomieni i kłębów dymu, był wykluczony tem więcej, że pożar przeniósł się wkrótce na drugi koniec wioski. Zaledwo zdołano żywo opuścić domy i uratować dobytek; wszelkie zaś ruchomości stały się pastwą pożaru, a jeżeli kto zdołał jeszcze na czas powynosić swoje mienie, to i to spłonęło na polu. Spłonęły do szczętu także zabudowania gospodarskie na plebanji. Do trzeciej godziny trwał jeden nieprzerwany olbrzymi słup ognia, poczem na miejscu pięknych zabudowań i gospodarstw spoczęło oko na zgliszczach, rumowiskach, porozwalanych piecach, w stosach popiołu ze zniszczonego doszczętnie mienia. Straszny widok, na który bez boleści serca patrzeć nie można, a dodawszy do tego płacz, jęki i narzekania nieszczęśliwego ludu, możemy śmiało powtórzyć słowa Jeremjasza proroka: „Patrzcie, a obaczcie, czy jest boleść jako boleść nasza“. Kilkadziesiąt rodzin bez dachu, bez odzienia, bez chleba i bez karmy dla bydła.

Wprawdzie wiele gospodarstw było zabezpieczonych, ale co to znaczy wobec strat poniesionych. Kto jednak otrze łzę, poratuje biedaków — pocieszy sieroty i wdowy opuszczone bez nadziei? Otóż zwracam się do serc litościwych z gorącą prośbą o możliwe wsparcie dla nieszczęśliwych pogorzelców, a Pan Bóg, który kubek podanej wody wynagradza, nie zapomni i o najmniejszem wsparciu, które proszę nadsyłać na moje ręce. Poczta w miejscu.

Ks. Józef Piechowicz, wikarjusz.

P. S. Nie mogę jednak zapomnieć o pomocy, z którą przybyli p. Barszcz z Zaborowia i p. Wolny naczelnik gminy Borzęcina z sikawkami i ludźmi. P. Wolny swoją energją i pracą wśród której prawie upadał ze zmęczenia, dokonał, że wreszcie zlokalizowano pożar, bo inaczej cała wieś zamieniłaby się w perzynę. Uznanie im za trudy i Bóg zapłać.

W sprawie głośnego wypadku kolejowego, jaki przed 5 laty zdarzył się w Stryju, z powodu którego przy zderzeniu się pociągów został zabity urzędnik kolejowy, Chechliński, zapadł obecnie wyrok najwyższego trybunału co do odszkodowania należnego pozostałej po nim wdowie Kamili Chechlińskiej. Najwyższy trybunał zatwierdził wyrok sądu wyższego w Lwowie, mocą którego mimo apelacji i rewizji fiskusa, jako zastępcy prawnego kolei państwowej, opierającego się na tem, że wypadek zdarzył się wskutek mgły i śnieżycy a więc *vis major*, przyznano odszkodowania Kamili Chechlińskiej ze skarbu państwa w kwocie 525 złr. rocznie, licząc od dnia wypadku. Prócz Kamili Chechlińskiej, domagali się odszkodowania i rodzice śp. Chechlińskiego, a to na tej podstawie, że jak długo on żył, utrzymywał ich. Żądaniu temu jednak odmówiono, bo wedle austr. ustawy cywilnej tylko żona i dzieci mają prawo domagać się utrzymania, rodzice zaś od dzieci nie, o odszkodowaniu więc tego, co było dawane nie z obowiązku lecz z łaski, mowy być nie może.

Samobójstwo. Ze Złoczowa donoszą: Samobójczyni, która 6 bm. rano położyła się na szynach i przejechaną została na śmierć, liczyła lat 20, była rodem z Tarnowa i nazywała się Julja Gugejewska. Powód samobójstwa niewiadomy.

Jubileusz komory. Z Radziwiłłowa pogranicznego piszą: Komora radziwiłłowska, obchodziła 8 b. m. stuletni jubileusz istnienia. Zdaje się, że jest to jedna z najdawniejszych komór w państwie rosyjskiem, istnieje bowiem od r. 1796.

Łowy cesarskie. Z Pesztu donoszą, że w posiadłości arcyksięcia Fryderyka w Bellye, ma być wybudowany przepyszny zamek myśliwski, gdyż w jesieni mają być tam urządzone wielkie polowania, w których wezmą udział cesarz Franciszek Józef i cesarz Wilhelm.

Za obrazę proboszcza katolickiego w Katowicach skazany został odpowiedzialny redaktor socjalistycznej *Gazety Robotniczej* Piechocki na 1 miesiąc więzienia.

Przeciw dyrektorom teatrów. Między zmianami, które mają wnijść do ordynacji procederowej w Prusiech, nieposlednie zajmuje miejsce projekt, dotyczący teatrów, a mianowicie ich dyrektorów. Już w dwóch czytaniach przeszedł ten projekt, przeciw któremu z posłów naszych wystąpił w parlamencie ks. Wolszlegier. Niezależna prasa niemiecka rozbiera projekt, dopominając się od posłów, aby przeciw niemu głosowali. Są ludzie — tak pisze jedna z tych gazet — którzy twierdzą, że im gorzej, tem lepiej. Powiadają oni, że im gorsze stosunki nadchodzą, tem prędzej lepszych się doczekają. Liczą na niezadowolenie coraz szersze, powiadając, że skoro obejmie jak najszersze koła, wtedy zniszczy wszystkie niedomagania, na które publiczność narzeka. Ta polityka złośliwości, czy rozpaczy jest z gruntu fałszywą, o czem przekonaliśmy się z historji. Zapobiegać trzeba złemu w samym zarodku, a do tego rodzaju objawów, mogących szkodzić społeczeństwu należy właśnie projekt, wymierzony przeciw teatrom. Żąda on, aby przedsiębiorcy teatrów uzyskali poprzednio pozwolenie. To pozwolenie atoli jest ważnem tylko w poszczególnym wypadku. Ktoby z przedsiębiorców chciał na innem miejscu urządzić teatr pod znacznie zmienionemi warunkami, ten potrzebuje nowego pozwolenia. Policja zaś odmówić może tego pozwolenia, jeśli przedsiębiorca nie wykaże, że posiada odpowiedni do tego kapitał, albo jeśli na mocy danych jest przekonaną, że przedsiębiorca nie daje rękojmi dostatecznej pod względem moralnym i artystycznym. A zatem ubiegający się o koncesję może jej żądać tylko na jedno przedsiębiorstwo, którego lokal, rodzaj przedstawień, ilość aktorów dokładnie oznaczone być muszą. Taki przepis utrudni, a prawie zupełnie uniemożebni urządzanie teatrów po mniejszych miastach prowincjonalnych przez wędrujące trupy. Bo z udzielaniem koncesji nie jest tak łatwa sprawa, wymaga to czasu dość znacznego; przedsiębiorca więc zmuszony na każde miasto mieć osobną koncesję, a te formalności zwłaszcza wobec wymagań projektu nie łatwo będzie pokonywać. Ma on wykazać policji, że posiada odpowiednie fundusze na to przedsiębiorstwo. Z tym punktem przepisu pewno najsnadniej będzie się mógł załatwić, bo jeżeli jaką taką będzie dawał rękojmię moralną swoim krewnym lub znajomym, toć pieniędzy dostanie, aby je wobec policji wyciągnąć z kieszeni i policzyć na stole. Ale czy taka manipulacja zgadza się z moralnością i czy ona popiera w ogóle moralność, to rzecz bardzo wątpliwa. Takich przecież środków będą się niektórzy przedsiębiorcy chwytać musieli, a więc prawodawstwo nie powinno pchać publiczności do omijania przepisów prawnych.

Policja ma decydować o artystycznej kwalifikacji przedsiębiorcy i przy każdym wniosku, ilekroć przedsiębiorca zmienia miejsce, ma badać tę kwalifikację. O czem już to policja w Prusiech decydować nie musi?! Ma ona wydawać sąd o tem, czy margaryna, zaprawiona fenolftaleinem, nie farbuje na czerwono, czy ulice czysto zamiecione i czy przedsiębiorca teatralny posiada kwalifikacje „artystyczne“. Jeżeli nowy projekt zostanie ustawą, to podkopać może nawet najrzetelniejsze przedsiębiorstwa teatralne; poniszczy bardzo wiele egzystencyj, popchnie je w proletarjat — a takiego rezultatu życzyć sobie przecież nie należy.

Wystawa umeblowań stylowych otwartą będzie w Warszawie dn. 15 maja b. r. w gmachu Muzeum przemysłu i handlu.

Szyldy złodziejskie. Rosyjska władza wykryła oryginalny sposób, w jaki złodzieje koni na wsi porozumiewają się z sobą. Właściciele kolonij, zarazem rabusie, na swoich stodołach, najczęściej na wrotach lub na jednym ze słupów podtrzymujących dach, malują wapnem kreskę poziomą, wspartą na czterech innych, co ma niby wyobrażać konia. Znaki są drobnych rozmiarów, wystarczały jednak dla kamratów, którzy w podróży znajdowali u tych gospodarzy przytułek, a nawet postój dla skradzionych koni. Wszystkich właścicieli z szyldami wyłowiono i osadzono w areszcie. Byli to rabusie już znani i poprzednio karani.

Zmiana mundurów. W Nr. 7208 *Now. Wrem.* czytamy, że w sferach wojskowych rosyjskich utrzymuje się stale wiadomość, iż po koronacji cara nastąpi zmiana w umundurowaniu wojska i przywrócenia dawnych mundurów ułanów i huzarów armji.

Kijów-forteca. *Nowosti* Nr. 84 donoszą, że potwierdza się pogłoska, że Kijów-forteca zdegradowaną będzie do rzędu Kijów-skład. Posada komendanta i zarząd inżynierji fortecznej zostaną utrzymane nadal; co się zaś tyczy artylerji fortecznej, ta będzie przeniesiona do Kowna.

Z Petersburga piszą: Władza opracowywa przepisy specjalne, mające na celu ukrócenie szkodliwej działalności znachorów wiejskich.

Z Berlina piszą: Od kilku dni krążą w dzielnicy zachodniej miasta wozy pewnego kantoru, stręczącego służbę, zbudowane tak samo, jak hotelowe, przeznaczone do bezpłatnego przewożenia z domu do kantoru zarówno osób, pragnących przyjąć obowiązek, jak i poszukujących służących. Nowa to osobliwość na ulicach stolicy.

Na zebraniu Towarzystwa niemieckiego przyjaciół fotografji, prof. Goldstein zakomunikował zebranym, że udało się mu przy pomocy specjalnie preparowanych płyt sporządzić fotografje Röntgena, tak samo, jak inne fotografje w 1—5 sekund.

Horoskopy mody. Wedle zapowiedzi pierwszorzędnych krawców paryskich, w nadchodzącym sezonie przeważać będzie naprzód styl z epoki Ludwika XVI, a następnie powrócą mody, które babki nasze nosiły pomiędzy r. 1820 a 1840. Granica, jak widzimy, dość rozległa. Spódnice tymczasem nie ulegają znamiennym zmianom; zyskując jeszcze na obwodzie, ale nieznacznie, będą nadal krótkie, niedostające do ziemi, na biodrach obcisłe — w tualetach spacerowych, falujące — w strojach większych, z lekkich materjałów. Rękawy mają być mniej obszerne; staniki mniej namarszczone, zatracą charakter bluzek. Modnemi materjałami z zakresu jedwabiów będą: fulary wzorzyste, morowe bengaliny, mieniące, połyskliwe, jak morskie fale, a nadewszystko *crepes de Chine*. Co do kolorów, zapanują zielone: *vert Nil*, *vert Empire*, *vert émeraude*; w ogóle barwy jasne, zdecydowane, wyrugują półcienie, oraz chorobliwe, zwiędłe kolory. W wełnach przeważają mohéry; krepony dostały stanowczą odprawę. Do garnirowań używane będą: guziki w starym stylu, emaljowane oraz koronki, w wielkiej obfitości i trochę haftów.

Prasa i telegraf. W Londynie toczy się sprawa ciekawa, zwłaszcza dla dziennikarstwa. *Times* wytoczył proces ajencji telegraficznej „Central News“ za to, że podczas wojny chińsko-japońskiej, podała mu wiadomość, zawierającą 655 słów, a zredagowaną z telegramu, który ich liczy 204 zaledwie i wiele innych podobnie przerobionych. Sir Frank Lockwood, adwokat *Timesa*, przytoczył kilka depesz rozwodnionych w taki sposób i dowodził, że na 17 tekstów ani jeden nie był podany dosłownie. Oto próbka tych rozcieńczeń: „Miasto zupełnie spokojne; podczas ataku, stary Nan-Ching, znaleziono Misjonarza cudzoziemca, wzięliśmy go natychmiast w opiekę“. Tak brzmi tekst oryginalny; a przeróbka: „Podczas gdy Japończycy toczyli bój rozpaczliwy na ulicach starego Nan-Ching, w jednym z domów znaleźli dzielnego Misjonarza angielskiego, który, pomimo grożącego mu niebezpieczeństwa, postanowił na swem stanowisku pozostać. Dano mu natychmiast specjalną eskortę dla osłony“.

Khedyw kompozytorem. W Europie dobrze już wiadomo, iż młody khedyw egipski, Abbas basza, w wolnych chwilach z zapałem poświęca się twórczości muzycznej. Sprawozdawca *Voss. Ztg.* donosi właśnie z Kairu, iż niedawno miał sposobność usłyszeć dwie z kompozycyj khedywa: marsza i walca, wykonane przez orkiestrę przyboczną wice-króla. Może on z czystem sumieniem zapewnić, iż oba te dzieła są bardzo udatnemi kompozycjami i stanowczo przewyższają przeciętną miarę. Marsz grany był po raz pierwszy na wielkim tegorocznym balu u khedywa, liczne zebranie przyjęło go jednak niepostrzeżenie, bo tylko parę osób wiedziało, kto jest jego twórcą. Walca natomiast wykonano w licznem kole podczas objadu, jaki wice-król wydał niedawno na pożegnanie ustępującego konsula dyplomatycznego, barona v. Heyking. Objad otwarto hymnem narodowym niemieckim, nastąpił potem hymn khedywa, dalej walc jego i wreszcie kompozycja cesarza niemieckiego: „Hymn do Aegira“.

Dlaczego ludzie piją? Na to pytanie profesor Bunge w Bazel daje następującą odpowiedź: „Główną przyczyną nałogu do trunków jest duch naśladownictwa. Pierwszy kufel piwa, pierwszy kieliszek wódki nie smakuje lepiej, niż pierwsze cygaro: ludzie piją dlatego, że to czynią inni. Lecz gdy się raz do picia przyzwyczają, to nie zbraknie im nigdy pozorów ku temu. A zatem piją przy pożegnaniu, piją przy powitaniu; piją gdy są głodni — dla zabicia głodu; piją gdy są syci — dla podbudzenia apetytu; piją, gdy im zimno — na rozgrzewkę; piją, gdy mu gorąco — na ochłodę. Piją, gdy im się chce spać — dla rozbudzenia się; piją, gdy spać nie mogą — aby usnąć. Piją, bo im smutno, piją też — bo im wesoło. Piją przy chrzcinach, ślubach, pogrzebach: dla uczczenia narodzin, zaślubin, dla opłakania śmierci, piją wreszcie dla zabicia nudów. Bal wszystkich pretekstów na wołowej skórze by nie wyliczył!...“

Przy wyborach uzupełniających do Zarządu Zakładu ubezpieczenia robotników od wypadków dla Galicji i Bukowiny we Lwowie, dokonanych dnia 16 lutego b. r. zostali wybrani: W I kategorji [przedsiębiorstwa rolne i leśne, młyny] a] z grupy reprezentantów przedsiębiorców pp.: Franciszek Rozwadowski, dyrektor Tow. kredyt. ziemskiego we Lwowie, poseł na Sejm kraj., ponownie, jako członek; Stanisław Jędrzejowicz, poseł na Sejm kraj., właśc. dóbr ziemskich, ponownie, jako zastępca; b] z grupy reprezentantów ubezpieczonych pp.: Kazimierz Szmajek, starszy młynarz w młynie parowym p. Gustawa Barucha w Podgórzu, w miejsce p. Józefa R mca, jako członek; Aleksander Sawczyński, zarządca folwarku w Załawiu, jako zastępca.

W II kategorji [koleje żelazne, górnictwo i hutnictwo, przerabianie metali, machiny, narzędzia itd., przedsiębiorstwa transportowe, składu towarów, przedsiębiorstwa teatralne i zawodowe straże pożarne] a) z grupy reprezentantów przedsiębiorców pp. dr Mikołaj Fedorowicz, współwłaściciel kopalni nafty w Słobodzie rungurskiej, ponownie, jako członek; (zastępca nie został wybrany); b] z grupy reprezentantów ubezpieczonych pp.: Tadeusz Zima, kierownik techniczny fabryki w Peczeniżynie, ponownie, jako członek; dr Stanisław Zygmunt Olszewski, sekretarz Tow. naftowego, inżynier górniczy we Lwowie, jako zastępca.

W IV kategorji [kamienie i ziemie, przemysł budowniczy, bagerje, przedsiębiorstwa czyszczenia ulic i domów, przedsiębiorstwa kanalarzy, kominiarzy, kamieniarzy, studniarzy, konstruktorów żelaza]: a] z grupy reprezentantów przedsiębiorców pp.: Alojzy Liopold, budowniczy w Czerniowcach, ponownie, jako członek; Józef Oczeret, budowniczy w Tarnopolu, ponownie, jako zastępca; b] z grupy reprezentantów ubezpieczonych pp.: Michał Bielaniuk, murarz w Tarnopolu, w miejsce Antoniego Gruszczyńskiego, jako członek; Wojciech Łapcik, kamieniarz w kamieniołomach pp. Loebenheimów z Zalasa, w miejsce p. Franciszka Dudziewicza, jako zastępca.

Teatr, Literatura i Sztuka.

* W teatrze krakowskim dawano wczoraj po raz drugi „Burzę“ Ostrowskiego. Publiczność przybyła licznie na przedstawienie. Artyści grali żywiej niż na premjerze, na czem zyskała akcja. Pani Siennicka zbierała sute oklaski za grę wyborną w roli Barbary, sukces z nią dzielili pp. Zboiński M. i Śliwicki.

* „Opjum“, fantastyczny balet w 2 obrazach, ułożyła Glora Jungmanówna, naucielka baletu w Monachjum, rodem Czeszka; muzykę do niego napisał Henryk Neal. Treść została wzięta z powiastki Haritesa. Rzecz się dzieje w Węgrzech, w domu aptekarza, a tańczą w balecie takie osoby jak opjum, Eskulap, trucizny, kwiaty oraz.. wino szampańskie.

* W teatrze [Renaissance w Paryżu wielkim powodzeniem cieszy się obecnie sztuka obyczajowa Abela Hermants p. t. „Sa meute“. Paryski świat interesował się tą sztuką jeszcze przed jej wystawieniem, ponieważ krążyły wieści, że Hermanst zamieścił w niej satyrę na przyjaciół nieszczęśliwego Maksa Lebaudy. Ci jednak, który oczekiwali skandalu zawiedli się najzupełniej. Sztuka szuka szlachetniejszych sposobów zajęcia uwagi publiczności i udaje się jej to całkowicie. Krytyka chwali zwłaszcza przepyszną ekspozycję sztuki i doskonałą figurę księcia Sagon.

Repertoar teatru miejskiego. W niedzielę dnia 12 bm. „Kupiec Wenecki“, komedja w 4 aktach W. Szekspira. z panem Zawadzkim w roli Szyloka. W poniedziałek 13 b. m. teatr zamknięty. We wtorek dnia 14 b. m. „Marcin Łuba“, dramat w 4 aktach, napisał Sewer z współpracownictwem Tadeusza Micińskiego [nowość]. We środę 15 bm. „Marcin Łuba“ po raz drugi. We czwartek 16 bm. (?) — W piątek 17 bm. „Attaché“ komedja w 3 aktach H. Meilhaca. Występ gościnny nadwornego artysty Ernesta Hartmanna z współudziałem pny Flory Kesler, artystki nadwornego teatru w Monachjum i Elli v. Beauval. artystki z teatru Karola w Wiedniu. W sobotę dnia 18 b. m. „Pan Dyrektor“ komedja w 3 aktach A. Bissona i F. Carre, występ E. Hartmanna, Flory Kesler, Elli v. Beauval, oraz Carlo Ernsta, artysty z nadwornego teatru w Monachjum.

MANJACY.

Zbytek w ubiorach dwojako może być pojmowany, albo zbytek ten polega na noszeniu kosztownych sukien, albo przejawia się w kupowaniu przedmiotów do tualety służących, w nadmiernej ilości. Ani jeden, ani drugi z tych rodzajów nie są wyłączną właściwością kobiet, jakby się z pozoru wydawać mogło, choć kobiety grają tu główną rolę. Mężczyźni zbyt pohopnie zazwyczaj wyrzucają kobietom namiętność do tak zwanego „robienia sprawunków“. Złośliwość ta posuwa się bardzo daleko i byle mąż gotów naśmiewać się z żony, że ta, sprawiwszy sobie tylko co pół tuzina sukien, z westchnieniem powie: „ach! nie mam się w co ubrać!...“ Zobaczymy, że i mężowie naszych czasów to samo potrafią — i jeszcze lepiej!

Pojęcia ubrania, toalety, nie należy brać w najściślejszem znaczeniu wyrazu. Pod określeniem tem należy rozumieć wszystko, co służy do odzienia i przyozdobienia naszej powierzchowności, więc zarówno trzewiki, buty, jak peruki, szyniony, wachlarze, kosztowności wszelakie itd. Zacząwszy od sfer najwyższych, wspomnimy Fryderyka I, króla pruskiego, który całe magazyny ubiorów po sobie zostawił. Dość powiedzieć, że zostało się po tym monarsze przeszło tysiąc peruk, owych kosztownych, długich peruk, spadających aż na ramiona zwojami pudrowanych loków! Nikt nie wysłowi też, z jaką goryczą rozglądał się w tych zbiorach skąpy jego syn i następca Fryderyk Wilhelm, zacięty obok tego wróg peruki. Idąc dalej, spotykamy podobne upodobania do peruk w słynnym muzeum Haendlu. I ten pół tysiąca ich liczył w swej garderobie.

Podobnie marnotrawne upodobania rzadko bardzo jednak spotykają się wśród głów koronowanych. Przeciwnie, mamy w tej sferze nierzadko skąpców prawdziwych, demonstracyjnie oszczędnych, którzy skąpstwo w tym kierunku, jako pewną odmianę sportu z zamiłowaniem uprawiają, posuwając je do ostatnich niemal granic możliwości. Fryderyk „wielkim“ zwany, Fryderyk Wilhelm III, królowie pruscy, dalej cesarz Paweł I. Ludwik XI francuski i jeszcze kilku innych monarchów, lubowali się w odzieży skromnej, płaszcze aż do nitek zdzierając, obuwie nosząc łatane i t. d. Otoczenie do podstępu nieraz się uciekało, aby monarsze dać nową, zamiast zużytej, sztukę ubrania. Jednemu z monarchów własny kamerdyner, przez otoczenie podmówiony, ukradł z powozu płaszcz, aby tym sposobem nastręczyć nieuniknioną konieczność sprawienia nowego płaszcza. Innemu monarsze podrzucono w podobny sposób nowy płaszcz zamiast starego itp.

Tyle o skąpstwie w odzieży. Przyjrzyjmy się teraz rozrzutnikom. Milioner bawarski, Heeren, zmarły przed kilku laty, zostawił 27 olbrzymich pak odzieży i 800 pudeł z kapeluszami. Ale Heeren nie był właściwie marnotrawcą. To był utopista, marzyciel, a utopja jego zasadzała się na wynalezieniu takiego ubioru, z kapeluszem włącznie, iżby go w każdej życia porze i okoliczności, w każdym wieku i powołaniu i przy każdym stanie pogody nosić było można. Pan Heeren tedy podzielił sobie ludzkość całą na trzy kategorje. na trzy stany spółczesne i dla każdego stanu szukał „normalnego“ ubioru i „normalnego“ nakrycia głowy, sam na sobie każdy pomysł próbując. Rezultat ostateczny okazał się jak wyżej. Innemi poglądami rządził się wiedeński geszefciarz, niejaki Karuch, który w r. 1889 uciekł do Ameryki, okradłszy swoich klijentów, z sumą 300.000 guldenów. Kiedy go tam w chwili przybycia okrętu do lądu przyłapano, znaleziono w jego „bagażach“ 19 całkowitych kostjumów, 14 oddzielnych par spodni, 16 kamizelek, 18 paletotów. 47 kosztownych pierścieni, kilka tuzinów szpilek do krawatów i wiele innych precjozów.

Kosztowne złote tabiekiery stanowiły niegdyś najkonieczniejsze akcesorjum męskiej tualety. Nie próżności gwoli jednakowoż, zmarły przed czterystu laty madziarski hrabia i biskup Nadardy nagromadził aż 1700 złotych tabakier. Była to poprostu lokacja kapitału *sui generis*, lokacja pewna, niezawodna. Dostojnik ten przetrwał ciężkie lata 1848 i 1849 i osobiście przekonał się, jako wszelkie wartości giełdowe przepadają w podobnych chwilach i jako jedynie złoto waloru nie traci. I dlatego oszczędności swe na złote tabakiery zamienił.

Oryginalna, dziwaczna jest manja: gromadzenia par obuwia, jaką niektórzy mężczyźni posiadają. Pisma niemieckie wspomniały niedawno o pewnym oficerze kawalerji pruskiej, który stale ma u siebie zapas butów z długiemi bolewami za 15.000 marek! Nic to w porównaniu jednak z braćmi Sommerfeldami, bankierami berlińskimi, którzy parę lat temu samobójstwem przypłacili swą pasję do tak zwanej elegancji. Jeden z nich naprzykład miał szewca, który wyłącznie dla niego tylko buty robił. Codzień też w nowych butach ów Sommerfeld na giełdę przybywał. Kiedy zaś raz pewnego ktoś ze znajomych o adres szewca jego poprosił, Sommerfeld z wyszukaną grzecznością odrzekł:

— Bardzo żałuję, że nie mogę służyć. Ten człowiek ma tyle roboty dla mnie, że innych obstalunków przyjmować nie może.

Skończyli smutno ci Sommerfeldowie. Kiedy widmo bankructwa i ostatniej nędzy zajrzało im w oczy, siedli bracia w gabinecie swoim z brzytwami w ręku, na dwóch fotelach, po raz ostatni spojrzeli sobie w oczy i jeden drugiemu przeciął arterję. Na giełdzie berlińskiej spotkać można jeszcze kilka osobników tej samej marki. Jeden z tych panów przywykł zamawiać dla siebie specjalnie i wyłącznie w fabryce jeden postaw sukna lub kortu własnego pomysłu. Krawiec wykrawa mu z tego parę pantalonów i cały postaw idzie już na schowanie. Jegomość ten ma też w swej willi cały szereg salonów, w których setkami wiszą surduty, paltoty. Jeszcze inny strojniś berliński, książę L., ma w swej garderobie około 5.000 ubiorów!

Prawdziwa tragikomedja łączy się z kwestją, o której mowa, a datuje się ona z epoki ostatniej chwili drugiego cesarstwa we Francji. Opowiada to w dziele swojem były adjutant Napoleona III, można mu tedy dać wiarę. Kiedy nadeszła do Paryża najświeższa wieść o pogromie sedańskim i zabraniu wojsk do niewoli, zrozumiano w Tuilleries, że chwile cesarstwa są policzone. Otoczenie regentki, cesarzowej Eugenji, uradziło tedy, żeby sama cesarzowa, niby druga Joanna d'Arc, z rozwiniętym sztandarem dosiadła rumaka i poprowadziła ostatnie hufce z Paryża na wroga. Lubujący się bezmyślnie w teatralnych efektach ludek paryski zostałby zelektryzowany tym galopem i widmo detronizacji, na razie przynajmniej, dałoby się zażegnać. Cesarzową zachwycił ten projekt i hurmem rzucono się z sali obrad ku garderobom, aby dobyć „amazonki“. Niestety, czterysta sukien przerzucono, wszystkie szafy przetrząśnięto — napróżno!... A jakże tu bez długiej powłóczystej szaty na koniu skokietować paryżan?... Godzinę przeszło kopali się wszyscy w szmatach, amazonki ani śladu!... Tymczasem chwila pomyślna bezpowrotnie minęła i połączone Izby w tym samym momencie ogłosiły detronizację Napoleonów i proklamowały Republikę!..

Czterysta sukien!... Więc na każdy dzień w roku więcej, niż jedna suknia!... Czyż nie zabije silniej serce każdej strojnisi wobec tej olbrzymiej cyfry?... Zapewne. Ale jest postęp we wszystkiem, więc i w tem również; i owe czterysta sukien cesarzowej Eugenji nie są jeszcze ostatnim wyrazem marnotrawstwa kobiecego. Niedawno rozłączyli się w Paryżu hrabstwo Agoult, a proces ich rozwodowy ujawnił takie „szczyty“ rozrzutności ze strony pani, że panom mężom włosy na głowach na samą myśl o tem powstawać winny. Hrabina dostała świetną wyprawę, tak świetną, że z zazdrością o niej w wyższych sferach mówiono. Mimo to w dziesięć miesięcy po ślubie marnotrawna ta kobieta była już po uszy w długach. Zadłużyła się mianowicie: szewczkom damskim na 66,000 fr.; modniarkom na 16,000 fr.; jubilerom na 42,000 fr.: szewcowi na 3,000 fr. To wszystko, po wyekspensowaniu gotowizną sumy 157,400 franków!...

Nie jestże to rodzaj chorobliwego usposobienia? Wierzyć się tym cyfrom nie chce. I zaprawdę to chyba już jest ostatnie słowo marnotrawstwa i zbytku w ubiorach. Tu nie zdaje się już chodzić o to, żeby się ubrać, żeby się stroić nawet, ale o to, ażeby kupować i mieć.

Nekrologja. Stanisław Ogibiński, obywatel m. Krakowa, lat 48, zmarł w Krakowie 9 bm.

Zadanie konikowe wraz z zagadką

ułożone przez myśliwego, któremu nie o rym, lecz o sen idzie.

								śleć	w								
					raz		re	rzę	biedz	nej		nie					
					Któ	mie	co	rów	my	nąć	ciaż	co					
				jed	to	Te	też	po	Cho	pies	ma	więc	czów				
				rzę	toł	nak	fi	dzisz	zgad	po	Zech	nóg	sz				
śli	bią	zwie	cha	jest	pod	ją	ni	ty	tra	sier	cza	O	ciej	zja	no	bar	tę
		my	bu	bią	ku	czy	do	ści	wi	Mi	niema	siada	i	wła	chę		
go	wi	Lu	za	słu	jąc	leka	też	z	resz	też	nie	na	da	Sia	dzo	pus	tnie
			lu	pro	go	pro	ty	nie	pa	pół	po	A	Z	ka			
			za	szę	moj	ne	da	mis	psa	ciaż	że	ogon	gło	mi			
			ką	go	się	ku	pa	jed	cze	le	iż	nie	to	ka			
			chciej	jąć	po	za	Iż	twą	sma	lub	cho	na	mo	wy			
			nie	gad		Ła	jako	nie	ka	jesz	wca		I	żad			
						siada	tą	zwie	wego	czne	mirzon						
						rzę	się	da	cha	siada	dedam						
							u	wisz	nie	śli							
						zdzi	to	My	nie	Gdy	po						

Rozwiązanie szarad z nru 80.

Gra—ma—ty—ka. Do—li—na.

Dobre rozwiązanie przysłali Panowie i Panie: Władysław Kubas i J. Krasicki z Krakowa; Helena i Kazimierz Podobińscy z Wieliczki; Roman Kwaśniewski z Łukawca; Kamilla Rożańska z Bochni; Franc. Chrzanowicz z Kuryłówki; Anna Harasowska z Krowic; Prenumerator z Smdlina; Wincentyna Janecka ze Złoczowa; Karol Radwański z Nowego Sącza; Zygmunt Miączyński; Walerjan Jeziorkowski z Kupna; Michalina Kropodrówna z Nowego Sącza i Ignacy Moczydłowski z Kalwarji.

HUMOR.

Widziałem portret i oryginał.
Stojący tuż przy portrecie.
Portret naturę mi przypominał,
Czemu uwierzyć zechcecie,
Gdy wam wyjaśnię powód tej zmiany,
W której jest prawda przejrzysta,
Że portret lepiej był malowany,
Bo go malował artysta.

— Możesz mi wierzyć lub nie. ale podczas ostatniej mojej wycieczki artystycznej, doznałem bezprzykładnego powodzenia. W roli „Otella“ trzydzieści razy mię wywołano.

— A ja, gdy ostatni raz w Ryczywole grałem „Narcyza“, to publiczność dopóty szalała, dopóki „da capo“ nie zwarjowałem i nie umarłem.

— Jak ja wujcia kocham!
— A dlaczego Juleczko?
— Bo ile razy wujcio przychodzi, to zawsze są pomarańcze!

— Dziś wieczorem zając — ogłasza właściciel restauracji z dopiskiem: „Zające mogą być wpierw obejrzane!“

— Czy słuch ojca pani się poprawił?
— A jakże! Wczoraj już sobie uszy zatykał, gdy śpiewałam.

— Komorne musi być na czas zapłacone! No to panu zapewne wiadome?
— A jakże, inaczej przecież mógłbym był pozostać w dawnem mieszkaniu.

Nadzieja, to zaliczka na szczęście.

Pozytywista zna ludzi, ale nie zna ludzkości; idealista zna ludzkość, ale nie zna ludzi.

Jeżeli się chcesz dobrze bawić, pij z młodymi, czytuj starych.

Nawet fałszywe szczęście wywołuje prawdziwą zazdrość.

W dzisiejszych czasach dużo się czyta, więcej jeszcze pisuje, a najwięcej zapomina.

Telegramy

własne *„Głosu Narodu“*.

Wiedeń 11 kwietnia. Ponieważ opozycja węgierska grozi przewlekaniem zatwierdzenia odnowicnej ugody pomiędzy obiema połowami monarchji przez sejm węgierski, prawdopodobnem jest rozwiązanie sejmu w sierpniu. Równocześnie nastąpiłoby także rozwiązanie wiedeńskiej Izby deputowanych, a projekt nowej ugody zostałby przedstawiony parlamentom obu połów monarchji do zatwierdzenia dopiero w jesieni r. 1897.

Petersburg 11 kwietnia. *Grażd.* donosi, iż minister spraw wewnętrznych, Goremykin, poważnie zachorował na ostre bóle wewnętrzne. Lekarze trzy razy zbierali się na konsyljum. Według ostatnich informacyj, dziś stan chorego polepszył się.

Według informacyj *Graždanina* projekt reorganizacji ministerstwa wojny został odłożony.

Praga 11 kwietnia (w południe). Na wczorajszem posiedzeniu wiecu socjalno-demokratycznego, przy dyskusji nad organizacją i taktyką stronnictwa, referent Neumann popierał wnioski redaktora krakowskiego *Naprzodu*, p. Daszyńskiego, według których organizacja i taktyka ma być rzeczą organizacyj okręgowych, które tylko porozumiewać się będą z reprezentacją państwową.

Wenecja 11 kwietnia (w południe). Przyjęcie Humberta i królowej Małgorzaty nie miało uroczystego charakteru ale było bardzo piękne i serdeczne. Ściemniało się już, kiedy w Kanale Grande poczęła się zjawiać gondola za gondolą, a zdala ze wszystkich stron z San Marco widać było nadpływające coraz to nowe, pełne czerwonych lampek i trójbarwnych chorągiewek. Gdy dworskie gondole opuszczały dworzec, po obu brzegach kanału zabrzmiały żywe okrzyki na cześć domu sabaudzkiego i mieszały się z okrzykami na cześć Niemiec i trójprzymierza. Król i królowa musieli się potem dwukrotnie ukazywać w oknach pałacu. Oklaski i okrzyki trwały przeszło godzinę.

Zofja 11 kwietnia (w południe). Kiedy książę Ferdynand zwidzał bułgarski kościół w Konstantynopolu, egzarcha przywitał go mową, w której wskazał dobitnie na interes bułgarskiego kościoła w utrzymaniu dotychczasowego stanowiska wobec patrjarchatu. Książę odpowiedział wymijająco.

Zofja 11 kwietnia (w południe). Rządowy organ *Mir* zapewnia, że nigdy ani sułtan ani rząd bułgarski nie przyłożą ręki do zniesienia schyzmy a tem samem do usunięcia bułgarskiego egzarchy z Konstantynopola.

Paryż 11 kwietnia (w południe). Ambasadorem w Watykanie zostać ma obecny prefekt w Nicei Henri. Następcą Herbetta w Berlinie, zostanie prefekt Sekwany Poubelle. Ks. Hohenlohe odpowiedział już na poufne zapytanie, że nie ma nic przeciwko nominacji Ponbella.

Paryż 11 kwietnia (w południe). Dziennik *La Presse* podaje depeszę z Rzymu, według której trójprzymierze odnowione ma być na nowej podstawie i będzie miało na przyszłość charakter bardziej zaczepny.

Niektóre dzienniki utrzymują, że Cavaignac dlatego nie mógł wziąć udziału w uroczystościach w Belfort, ponieważ Niemcy na wypadek, gdyby te uroczystości przybrały zbyt wielkie rozmiary, groziły ponownem zaprowadzeniem przymusu paszportowego oraz innemi szykanami w Alzacji i Lotaryngji.

Konstantynopol 11 kwietnia (w południe). Macedońscy Bułgarzy zamieszkali w Konstantynopolu zamierzają zorganizować demonstrację przeciwko księciu Ferdynandowi, za to, że w towarzystwie swego sekretarza gabinetu odwiedził ekumenicznego patryarchę. Ugoda z patryarchatem zachwiałaby żywotnemi interesami bułgarskiego kościoła i bułgarskiej szkoły w Macedonji.

Rzym 11 kwietnia (w południe). *Italie* donosi, że cesarz Wilhelm wyraził oficjalnie życzenie, aby się mógł w Wenecji widzieć z Rudinim, Brinem i Sermonetą.

Londyn 11 kwietnia (w południe). Minister kolonij, Chamberlain, zawiadomił Izbę niższą, że władze w kraju Matabele uważały się za dość silne do ochrony Europejczyków, ale za zbyt słabe do stłumienia powstania. Z inicjatywy Robinsona pułkownik Plumer i inni oficerowie zebrali w Mafeking 500 ludzi dostatecznie uzbrojonych, którzy za trzy albo za cztery tygodnie zjawią się w kraju Matabele. Sir Herkules Robinson odrzucił stanowczo propozycję rządu w sprawie poczynienia nadzwyczajnych zarządzeń w celu stłumienia powstania, oraz w sprawie wzmocnienia garnizonu kolonij Przylądka i Natalu.

Londyn 11 kwietnia (w południe). W Izbie niższej wyjaśnił podsekretarz stanu Curzon, że większość Sudańczyków w egipskiej armji zaciągnęła się dobrowolnie, a tylko ci, którzy się urodzili w Egipcie, rekrutowani byli przymusowo. Curzon odmówił ze względu na interes publiczny odpowiedzi na interpelację Dalziela w sprawie zapatrywania rządu na sprawę opróżnienia Kassali, oraz w sprawie rozkazów, jakie odeszły do Sudanu, a które rzekomo wstrzymały dalszy pochód.

Londyn 11 kwietnia (w południe). Armeński komitet pomocniczy wzywa rząd do pomnożenia liczby wicekonsulatów w Turcji azjatyckiej.

Ostatnie telegramy „Głosu Narodu“.

Katowice 12 kwietnia (rano). W hucie Bankowej strejk się zakończył.

Wiedeń 12 kwietnia (rano). Ministerstwo skarbu zezwoliło na kotowanie na wiedeńskiej giełdzie lwowskiej pożyczki miejskiej.

Berlin 12 kwietnia (rano). *Kreuz Ztg* donosi w sposób stanowczy, że rokowania pokojowe pomiędzy rządem włoskim, reprezentowanym przez majora Salsę, a negusem Menelikiem, ostatecznie się rozbiły.

Berlin 12 kwietnia (rano). *Hamburger Nachrichten* występują z gwałtownym artykułem przeciwko Polakom w duchu znanych insygnacyj Bossego. Kwestja polska — piszą *Hamburger Nachrichten* — ma dla Niemiec stokroć większe znaczenie, niż wszystkie kwestje bałkańskie dla Austrji.

Paryż 12 kwietnia (rano). Krążą pogłoski, że prezes ministrów Bourgeois odwidził kanclerza Hohenloheego. Pogłoski te są dotąd nie sprawdzone. Natomiast pewną jest rzeczą, że kanclerz ks. Hohenlohe odwidził ambasadora angielskiego w Paryżu, lorda Dufferina. U lorda Dufferina zastał książę Hohenlohe księcia Walii i konferował z nim przez czas dłuższy.

Paryż 12 kwietnia (rano). Senat zamierza na pierwszem posiedzeniu po ferjach świątecznych zatwierdzić wprawdzie kredyt na wszystkie wydatki wojskowe, jakie pociągnęła za sobą wyprawa do Madagaskaru, natomiast zdecydowany jest skreślić wszystkie pozycje, tyczące się kosztów administracji cywilnej, ażeby w ten sposób zmusić gabinet Leona Bourgeois do dymisji.

Paryż 12 kwietnia (rano). *Gaulois* zapewnia na podstawie informacyj z najautentyczniejszego źródła, że stosunki pomiędzy prezydentem Faurem, a gabinetem Leona Bourgeois, są z każdym dniem bardziej naprężone.

Zofja 12 kwietnia (rano). Książę Ferdynand bułgarski wróci z Konstantynopola do Zofji i stąd wprost wyjedzie do Petersburga.

Książę Ferdynand postanowił podobno przyjąć żądania rosyjskie w sprawie zniesienia bułgarskiej schizmy. Egzarcha bułgarski Józef, skutkiem tego niebawem ustąpi.

Wiedeń 12 kwietnia. (Po zamknięciu giełdy). — Kredyty 363·75 Anglobanki 160·—; Länderbank 248·25; Staatsbahny 352·—; Lombardy —·—; Renta majowa 101·20; Renta koronowa węgierska 101·35; Alpiny 86·60; Tureckie 57·60.

Przyjechali do Krakowa.

Grand Hotel. G. Langer z Wiednia, J. Urbański ze Lwowa, T. Długołęcki z Jasła, J. Dernen z Bonu.

Hotel Saski. J. Franke ze Lwowa, G. Hinzinger z Tarnobrzega, M. hr. Badeniowa z Wiednia, J. Strzelecki ze Lwowa, J. Zacharjasiewicz z Wiednia.

POCIĄGI KOLEJOWE.

Do Krakowa przychodzą:

Od strony Wiednia, Warszawy i Berlina: godz. 6 minut 6 rano pospieszny (wszystkie trzy klasy); godz. 7 minut 33 rano osobowy z Oświęcimia; godz. 9 minut 37 przed południem osobowy; godz. 2 min. 34 po południu błyskawiczny (I i II kl.); godz. 5 min. 3 po południ. osobowy; godz. 8 min. 45 wieczorem pospieszny (trzy klasy); godz. 10 min. 10 wieczorem osobowy. — **Od strony Lwowa:** godz. 5 rano osobowy; godz. 7 rano pospieszny; godz. 8 min. 55 rano osobowy z Rzeszowa; godz. 2 min. 24 po południu błyskawiczny; godz. 2 min. 45 po połud. osobowy; godz. 8 min. 2 wieczór osobowy; godz. 9 min. 35 wieczór pospieszny. — **Z Wieliczki:** godzina 11 minut 10 przed południem i godzina 6 minut 45 wieczór pociągi mięszane.

Z Krakowa odchodzą:

W kierunku Wiednia, Warszawy i Berlina: godz. 5 min. 38 rano osobowy; godz. 7 min. 25 rano pospieszny; godz. 9 min. 15 przed południ. osobowy; godz. 2 min. 31 po południu (I i II kl.); godz. 3 min. 20 po połud. osobowy; godz. 6 min. 10 wieczór osobowy do Oświęcimia; godz. 10 wieczór pospieszny. — **W kierunku Lwowa:** godz. 6 min. 31 rano pospieszny; godz. 8 min. 37 rano osobowy; godz. 10 min. 30 przed południ. osobowy; godz. 2 min. 40 po południ. błyskawiczny (I i II kl.); godz. 6 min. 35 wieczór osobowy do Rzeszowa; godz. 9 min. 15 wieczór pospieszny; godz. 10 min. 55 wieczór pospieszny. — **Do Wieliczki:** godz. 12 min. 20 w południe i godz. 8 minut 10 wiecz. pociągi mięszane.

Czas środkowo-europejski.

Groby królewskie, grób Mickiewicza i skarbiec w katedrze na Wawelu zwidzać można w dnie powszednie o godz. 10, w niedziele i święta o godz. 11½.

Groby zasłużonych (w krypcie na Skałce), **grób Skargi** (w kościele św. Piotra), oraz **skarbiec** kościoła N. P. Marji oglądać można w chwilach wolnych od nabożeństwa za zgłoszeniem się do zakrystji.

Wystawa Nieustająca Zjedn. Towarzystwa Przyj. Sztuk pięknych w Sukiennicach otwarta codziennie od godz 11—4 prócz poniedziałków. Wstęp w niedziele 15 ct., w dni powszednie 30 ct.

Muzeum Narodowe (w Sukiennicach) otwarte jest codziennie od godz. 11—3 popołudniu, z wyjątkiem poniedziałków, za opłatą wejścia 20 ct. w dzień zwykły, w niedziele i święto po 10 ct. od osoby.

Gabinet Geologiczny Uniw. Jagiell. w *Collegium physicum* przy ul. św. Anny na I piętrze otwarty w każdą niedzielę od god. 9—1 w południe.

Gabinet Zoologiczny Uniw. Jagiell. w *Collegium physicum* przy ul. św. Anny na I piętrze otwarty w każdą sobotę i niedzielę od godz. 11—1 w południe.

Muzeum XX. Czartoryskich otwarte dla zwidzających we wtorki i piątki od godz. 9—1 po południu, o ile w te dnie nie przypadają święta.

Muzeum Techn.-Przem. w gmachu Franciszkańskim, otwarte codziennie od godz. 10—6. Wstęp 20 ct. od osoby. W niedziele od godz. 10—2 bezpłatny.

KURSY TELEGRAFICZNE.

Wiedeń 11-go kwietnia — 2 godz. 30 minut po poł.

	zł.	ct.		zł.	ct.
Renta austr. papier opod .	101	15	Anglobank . . .	—	—
Renta austr. srebrna . . .	101	25	Union	305	50
Renta austr. 4% złota . .	122	10	Bankverein . . .	140	—
Renta austr. 4% koronowa	101	25	Akcje Länderbank	248	—
Akcje banku au.-w.	983		„ kol. Kar. Lud.	220	—
„ kredytowe .	363	75	„ „ lwowsko-czerniow.	292	75
Londyn	120	45	„ „ południ. .	98	25
Napoleony . . .	9	55	Elbenthal . . .	284	—
Dukaty	5	66	Nordbahn . . .	3440	
Marki	58	90	Staatsbahn . . .	351	62
4% Renta węg. kor.	99	15	Alpin	86	60
4% „ „ złota	122	—	Akcje tytoniowe .	175	50
Losy prem. węg. .	158	75	Ruble	127	12
Losy tureckie . .	—	—			

Usposobienie giełdy mdłe.

(Rubryka „Nadesłane“ nie pochodzi od Redakcji, która też za nią odpowiedzialności nie przyjmuje).

Budziszek
otrzyma list w poniedziałek 13 b. m.

Właścicielka i wydawczyni: Józefa Rogoszowa. W drukarni W. Korneckiego w Krakowie.